Nr. 9. Warszawa, dnia 27 (15) Lutego 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

UPADEK GABINETU.

Jeżeli kronika dziennikarska twierdzi, że upadek ministeryum francuskiego nastąpił nagle i nie był przewidziany, to tylko znaczy, że nikt nie mógł ściśle określić, kiedy i z jakiego powodu on się spełni. W stosunku bowiem gabinetu do Izby i w ogólnem położeniu wewnętrznem spoczywało dość przyczyn, wobec których fakt ten był prawie nieunikniony. Strącony gabinet posiadał w daleko wyższym stopniu, niż wiele poprzednich, sympatyę narodu, gdyż przez zbliżenie się do Rosyi przywrócił stanowisku Francyi w Europie utracony wpływ i siłę. I gdyby na szalę padały tylko względy i korzyści polityki zewnętrznej, z pewnością Freycinet z towarzyszami pozostałby przy sterze. Ale Izba miała rachunki z rządem co do spraw wewnętrznych, które stanowią dotąd i długo stanowić będą piętę Achillesową gabinetów francuskich. Nie było to ich winą, że Rzeczpospolita, stosunkowo do natury swego ustroju, wynikających z niego zadań i obowiązków, za wiele energii i starań włożyła w kwestye polityczne, a za mało w społeczne. Dotychczas przechowuje ona w swych urządzeniach i instytucyach mnóstwo anachronizmów i skamieniałości, a nawet uwsteczniеń rozwojowych, których już nie znajdujemy w państwach z mniejszą kulturą i zdobyczami postępu. Na tym zapuszczonym odłogu skrajna lewica parlamentu założyła swój obóz, z którego razi i ostrzeliwa każdy gabinet. Wprawdzie dla ułagodzenia jej do każdego wprowadzany bywa jakiś radykał, ale ponieważ on stanowi tylko bezwładną cząstkę całości, ponieważ posiadanie władzy ściera zbyt ostre kanty w umysłach i charakterach, ponieważ wreszcie ci, którzy chcą wszystkich zadowolić, nie zadawalają nikogo, a rydwan ciągniony w różne strony nie rusza się z miejsca, przeto ministerya we Francyi zużywają się szybko i upadają powalone na jakimś punkcie spraw wewnętrznych. Tak być musi zresztą zawsze i wszędzie, gdzie przedstawicielstwo narodu jest bardzo zróżniczkowane, pokruszone na drobne odłamy i składające swą większość według chwilowego interesu i trafu. Gdyby ministrowie niemiecko-pruscy nie byli urzędnikami cesarsko - królewskimi, lecz wyobrazicielami stronnictw posiadających przewagę, może dzięki powolniejszemu temperamentowi rasy nie zmienialiby się tak często, jak we Francyi, ale również nie zajmowaliby długo swych stanowisk.

Ze spraw odłożonych, uciszonych lub stłumionych wynurzyła się w ostatnich czasach skutkiem niepokoju i wichrzeń kleru francuskiego kwestya stosunku kościoła do państwa. Niezawodnie spałaby ona sobie jeszcze przez czas jakiś na podściółce konkordatu, gdyby arcybiskup z Aix nie wyzwał do walki zuchwale rządu, gdyby inni jego towarzysze nie ogłosili jątrzącej deklaracyi, gdyby wogóle gwałtowny ruch ultramontański nie obudził uczuć i dążeń mu przeciwnych. Było to istotnie wlanie nafty do przygaszonego ognia. Naturalnie skrajne żywioły prawicy zaczęły rozdmuchiwać ten płomień i podpalać nim gabinet, który był dla nich burzycielskim i bezbożnym; natomiast skrajne żywioły lewicy zażądały od niego rozwodu państwa z kościołem, a spotkawszy się z odmową, wypowiedziały mu wojnę. Tym sposobem wrogowie stali się sojusznikami przeciw rządowi, który nie wytrzymał ich połączonego natarcia i upadł. Upadł przy głosowaniu nad ustawą o stowarzyszeniach, ale takaż sama porażka czekała go przy każdej innej rozprawie, gdyż nie miał już gruntu. Według doniesień dziennikarskich, Carnot oświadczył, że Izba uchwałą, sprowadzoną przypadkowem zjednoczeniem się stronnictw, nie wyraziła swej woli jasno, nie odmówiła więc zaufania dotychczasowemu gabinetowi i nie dała podstawy nowemu. Zdaje nam się, że prezydent Rzeczpospolitej nie mógł być tak niedomyślny i znaczenie owej uchwały zrozumiał doskonale. Parlament wypowiedział przez nią, że chce rządu, któryby niedwuznacznie, lecz stanowczo objawił swoje zasady i zamiary w sprawie stosunku kościoła do państwa. Wymagają tego zarówno ultramontanie i konserwatyści, którzy chcą puścić wodę na młyny klerykalne, jak radykałowie, rozdzierający konkordat. Mydlkowanie, ofiarowanie świeczek i ożogów, dwulicowość i ruchy wahadłowe znużyły wszystkich. *Hic Rhodus — hic salta.* Trzeba zdecydować się na taki lub inny kierunek, chociażby niezupełnie prosty, ale przynajmniej nie tak kręty.

Do chwili, w której te słowa piszemy, skład nowego gabinetu nie jest jeszcze ogłoszony, a nawet dokonany. Trudności bowiem w utworzeniu go są istotnie bardzo wielkie. Jednorodny nie utrzyma się długo, bo nie ma tak licznego stronnictwa, które by mu dało trwalsze poparcie; różnolity znowu zacznie pchać nawę państwową w przeciwne strony i wkrótce z niej zostanie wyrzucony. Sam przytem przedmiot obecnego zatargu nie jest małej wagi zarówno dla polityki wewnętrznej, jak i zewnętrznej. Usłuchawszy radykałów i oddzieliwszy kościół od państwa, Francya traci odrazu jednego i to bardzo potrzebnego dla niej sprzymierzeńca — papieża, który nietylko cofnie jej swe względy, ale przeniesie je tam, gdzie go wabią najsłodszemi grzecznościami, mianowicie do Niemiec, które swoim projektem szkolnym wchodzą w takt komendy Watykanu. Kto wie zresztą, czy taki radykalny krok rządu francuskiego nie odstręczyłby jego przyjaciół i rozluźnił węzłów, o których utrzymanie bardzo mu chodzi. Musi on więc rzeczywiście wykonać „taniec śród mieczów“ i nie można się dziwić ani Carnotowi, że tak długo klei nowy gabinet, ani powoływanym przez niego kandydatom, że nie chwytają skwapliwie ofiarowanych im tek ministeryalnych. „Złożymy naszą władzę i nasze brzemiona w inne ręce“ — rzekł

Freycinet, zapowiadając dymisyę. Można mu wierzyć, że to są ciężkie brzemiona. To też przypuszczamy, że bez jakiegoś stanowczego przełomu i zwrotu, żaden gabinet, nawet złożony z ludzi najuczciwszych i najzdolniejszych nie może wytrwać długo, gdyż z samej natury położenia musi on prowadzić podwójną, jeśli nie potrójną buchhalteryę polityczną, być jednocześnie postępowym i wstecznym, a skutkiem tego tracić kredyt w narodzie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cesarz niemiecki znowu przemówił i znowu zaniepokoił opinię publiczną. Powszechnie przypuszczano, że dopiero obrady sejmowe uświadomiły mu całą wsteczność projektu szkolnego i że radby on jeśli nie zupełnego pogrzebania tego płodu, to przynajmniej przekształcenia jego natury. Tymczasem na obiedzie u kanclerza zapytawszy prezesa komisyi, dokąd ona doszła w rozbiorze ustawy i otrzymawszy odpowiedź, że do § 14, rzekł: „No, to posiedzicie sobie panowie do jesieni.“ Myśl jasna: król pruski nietylko żąda przyjęcia projektu szkolnego, ale przyjęcia co prędzej i przedtem nie puści posłów na zwykłe ferye letnie. „Sytuacya nabrała jasności“ — powiadają w takich razach dziennikarze. Jeszcze większą niespodziankę i popłoch sprawił Wilhelm II swoją przemową na obiedzie galowym sejmu brandeburskiego. „Stało się, niestety, zwyczajem— rzekł on — rozgrzebywanie działań rządu. Czyż nie lepiej byłoby, gdyby niezadowoleni i sarkający otrząśli proch niemiecki z sandałów swoich i co najrychlej odsunęli się od naszych spraw wewnętrznych, które wydają im się mizernemi i nędznemi? Byłoby to i dla nich dobre i nam sprawiłoby zadowolenie. Niemcy powoli wchodzą w okres młodzieńczy, powinnyby więc uwolnić się od chorób dziecięcych... Przeznaczono nam jeszcze dokonać dzieł wielkich, a ja was prowadzę ku dniom wspaniałym. „Kurs“ mój jest pewny i podążę dalej w tym kierunku.“ Słowa te znamy z krótkiego doniesienia Agencyi północnej. Być może więc, że w nich coś opuszczono, coś zmieniono lub zbyt mocno zaakcentowano. Ale nawet dopuszczając pewne różnice, trudno nie zastanowić się nad ich dziwną treścią. Któż to ma, otrząsnąwszy niemiecki pył z sandałów, usunąć się od spraw wewnętrznych? Żywioły i stronnictwa opozycyjne — liberałowie, demokraci i t. d., którzy grzebią w czynnościach rządu? Czy Wilhelm radzi im, ażeby ludzie ci opuścili kraj lub też przestali się zajmować jego sprawami? Żądanie wprost niepojęte i zdumiewające. „Prowadzę was — mówi on — ku dniom wspaniałym.“ Skąd on wie o tem? Gdzie ma pewność, że to będą „dnie wspaniałe“ i „dzieła wielkie“? Czy jest człowiek, nawet najrozleglejszą opatrzony władzą, któryby mógłby zaręczyć, że da swemu narodowi chwałę? Nie pierwsza to przemowa Wilhelma II, która wywołuje zdziwienie, ponieważ zaś pod wyrazami: dzieła wielkie, dnie wspaniałe itd. ogół rozumie zawsze w tych naszych czasach militaryzmu wojnę, naturalnym przeto wynikiem objawił się mocny niepokój. Wstrzymajmy się wszakże od dalszych uwag, dopóki tego nowego objawu energii nie poznamy dokładniej.

Głoszono, jako wiadomość niezawodną, że Bismark wyzyska niezadowolenie z projektu szkolnego i wystąpi przeciw niemu w Izbie panów. Ostatnie wszakże doniesienia przeczą tej pogłosce. Widocznie „książę żelazny“ postanowił nie ozdabiać swego czoła wawrzynami parlamentarnymi i poprzestać na zdobytych dawniej, świetniejszych. Bo gdyby nawet obalił jakiś tam projekt szkolny — czemżeby takie zwycięztwo było dla niego, który obalał i miażdżył mocarstwa!

Między rządem niemieckim a księciem Kumberlandzkim toczą się tajemne układy w sprawie funduszu Welfów (skonfiskowanego królowi hanowerskiemu). Naturalnie chodzi o to, ażeby za zwrot pieniędzy zrzekł się on swych pretensyj dynastycznych. Pokusa wielka, bo milionów dużo!

Mowa tronowa, którą cesarz austryacki otworzył obrady sejmu węgierskiego, uniknęła starannie tych napomknień, które przeszłego roku narobiły tyle wrzawy. Od początku do końca, w każdym wyrazie i w całym duchu jest ona plastrem balsamu, położonym na rany zbrojnego pokoju.

Rozprawy nad bilem o samorządzie Irlandyi w parlamencie angielskim ujawniły całą jego obłudę i niesumienność, która zraziła nawet część torysów. Ponieważ whigowie łącznie z irlandczykami piętnują tę robotę gruntowną krytyką, możliwe jest przypuszczenie, że lord Salisbury rozwiąże parlament. Po nowych wyborach Gladstone spodziewa się tryumfu i odzyskania władzy.

Umarł Jan Sverdrup, niegdyś prezes ministrów norwezkich i przywódca stronnictwa włościańskiego.

LITERATURA I SZTUKA.

HERMAN SUDERMANN

jako nowelista i powieściopisarz.

(Dokończenie).

Sudermann jest malarzem, portrecistą, twórcą epizodu: opowiadania jednolitego o planie z góry pomyślanym stworzyć nie umie. To, co on sam powieścią nazywa, jest tylko bardzo obszerną nowelą. Jako malarz zabawia się pędzlem żywym, gorącym, używając natenczas barw ognistego uczucia i poetyckiego zapału, albo też zbiera farby wodne, blade, miękkie, rzucając je na tło niby z półświatła utkane. Przykładem: portret Reginy w „Katzenstegu“ i zbiorek „W pół-zmroku.“ W Reginie autor apoteozuje pierwotną naturę człowieka, przeciwstawiając ją Bolesławowi, jako człowiekowi „kulturnemu,“ któremu przyroda dobre wszczepiła instynkty, który jednakże w morzu „cywilizacyi“ częścią je zatracił, częścią zaś, lawirując przez życie naprzełaj, skrzywił i spaczył je nielitościwie. Regina jest postacią wielką, wzniosłą, idealną; pomimo poniżenia, któremu nieświadomie, bezwiednie ulega, pomimo tak zwanego „upadku,“ czysta jak dziecię i jak dziecię niewinna. Jest to natura dzika jak przyroda, nieokiełznana jak przyroda, ale jak przyroda piękna, pełna wielkich iskier, barw i tonów. Kochając nie szczędzi ani jednego tonu swojej duszy: oddaje się myślą, uczuciem, każdem tchnieniem, całą swoją istotą. Jest to motyw, z którym się w literaturze i sztuce często spotykamy. Sudermann z zadania artystycznie się wywiązał. Produkty sztuki i literatury cenimy przedewszystkiem jako wyraz pewnej indywidualności autora: kto widział Reginę, powiedzieć musi, że Sudermann Muzie swojej szablonem bawić się nie pozwala, że jest nawskroś indywidualny, że w stare myśli potrafi tchnąć tyle życia i oryginalności, iż zdawać się będzie, jakoby on je dopiero wogóle do istnienia powołał. Spostrzeżenie to nasuwa nam się i przy widoku obrazków malowanych w „Pół-zmroku.“ Trudno nie zauważyć, że Sudermann zapatrzył się na „Noce Florenckie“ Heinego, że do buduaru

---

3)

Andrzej Niemojewski.

MAJÓWKA.

XI.

Wtem niesłychany podniósł się zamęt,
  Zawrzały pszczół ludzkich roje,
Jak gdyby runął niebios firmament,
  Lub ziemia pękła na dwoje.

Trzask się rozlega, burzy się woda,
  Śród przekleństw, tłoku i wrzasku
Radca padł niby podcięta kłoda,
  Nasz statek osiadł na piasku.

Suchoty dziś tak powszechne w kraju
  Są plagą wielce zdradziecką,
I matka Wisła usycha w maju
  Dążąc przez błoń mazowiecką.

Gdy klął kapitan piaskowy zator,
  Gdy tłum nieludzkim wył głosem,
Statek Fajansa jak tryumfator
  Przejechał nam po przed nosem.

Statek jak brytan rwał się z łańcucha
  Skomląc świstawką, z komina
Żużle wzlatują, dym czarny bucha,
  Mknie za godziną godzina.

Już słońce niby krwawe ognisko
  Nad lasów głębią zieloną
Pali się, czerwień szerzy się nizko,
  Już wody wiślane płoną.

Od barw i blasków drga przestwór cały,
  Powietrze skrzy się i mieni,
Brzmią zdala ptaków leśne chorały,
  Pnie sosen świecą w czerwieni.

Aż słońce niby Cezar w senacie
  Nad tłumną nocy nawałą
Ukrywszy czoło w skrwawionej szacie
  Padło, zagasło, zczerniało.

Lekkie mgły wstają, suną po wodzie,
  Błądzą śród drzew zieloności.
Kapitan kazał pospuszczać łodzie
  I na brzeg wysadzić gości.

Siedliśmy w lasku, gdzie darń porasta
  Wysoki brzeg wodnej drogi,
Radca z rodziną i ów fantasta
  W płaszczu podobnym do togi.

Wieczór był cudny, niebo dokoła
  Niepokalanej pogody
A wietrzyk studząc płonące czoła,
  Dziwnie nastrajał do zgody.

XII.

Tymczasem w głuchej leśnej gęstwinie
  Szum powstał, pękają łozy,
Oddźwięk dalekiej muzyki płynie,
  Rżą konie, turkoczą wozy.

Łuna pochodni z za krzaków strzela,
  Orszak dobywa się z lasu,
Przodem na wozie ciągnie kapela,
  Za nią tłum z burzą hałasu.

Z przybocznych drożyn na przełaj zdąża
  W ślad na bicyklach młódź żwawa,
Cicho a lotnie mocy okrąża
  Jak nocnych duchów obława.

I nagle zwolniał pęd śród polany
  I dźwięki kapeli rosną,
W polonezowe takty śpiew znany
  Chórem się wmieszał żałośno:

„Ty pójdziesz górą ścieżką ponurą,
  Ja bezsłoneczną doliną
I tu się nasze drogi rozminą
  O moja biedna dziewczyno!

Dołem i górą świat skryty chmurą,
  Ach idźmy jedną ścieżyną,
Chociaż dni szczęścia z nami się zminą,
  O moja biedna dziewczyno!..“

Śpiew cicho tonie w leśne ustronie
  I chórem głosy w dal płyną:

kobiety, którą rakietami swego umysłu zabawia, starał się, wedle możności, przenieść atmosferę pokoju Maryi z „Nocy florenckich.“ Tak daleco udało mu się zbliżyć tło i kontury swoich opowiadań do tła i zarysów arcydzieła Heinego, że czytelnik słyszy niedelwie głos Maksymiliana, spotyka się na każdym kroku ze zwrotami mowy tylko nieśmiertelnemu poecie właściwymi, utożsamia sobie w myśli kobietę Sudermanna z wykwintną i delikatną postacią bohaterki Heinowskiej, zgóry mając przeświadczenie, że Maksymilian i Marya, bohater i bohaterka Sudermanna w indentycznym do siebie pozostają stosunku. Gdyby Sudermann był autorem tuzinkowym, to przez szukanie tak arystokratycznego powinowactwa zaszkodziłby sobie więcej, aniżeli przez średnie opracowanie tematu powszedniego. Lecz Sudermann posiada talent i z powyższych analogij wysnuwa nici nowe, łącząc je w przędzę cieniutką, delikatną, zabarwioną subtelnymi cieniami dowcipu i wrodzonej inteligencyi. Tylko więc tło i ramkę zapożycza sobie od Heinego, a w ramkę znaną oprawia obok perełek prawdziwego humoru niejedną myśl, która każe się w nim znakomitego domyślać spostrzegacza. W jednym obrazku („Kąpiele rzymskie“) przedstawia ohydę życia towarzyskiego w mieście i przeciętną inteligencyę dam światowych, inteligencyę t. zw. „na pokaz.“ Co się tyczy charakterystyki typu kobiecego, który Sudermann nazwą „Schildbürgerin“ ochrzcił, utwór ten jest małem arcydziełem. W pozostałych obrazkach autor stwierdza znane właściwości charakteru kobiecego: zmienność, drobiazgowość, nieumiejętność logicznego rozumowania itp. Są to motywy bardzo znane, powszednie, a jednak pod czarem pióra Sudermanna nowego zupełnie nabierają powabu. W zbiorku tym obok dźwięków wesołych, sarkastycznych, brzmią i struny głębokiego liryzmu (Wigilia przyjaciela domu), najpiękniejszym zaś wyrazem lirycznego talentu Sudermanna jest dłuższa jego opowieść „Kuma-Troska.“ Człowiek, któremu chrzest Troska sprawiła, poświęca całe swoje życie, wszystkie swoje indywidualne potrzeby dla dobra ubogiej, nieszczęśliwej swojej rodziny. Po długich latach niewoli w państwie matki chrzestnej, niszczy wreszcie szare jej szaty w ogniu miłości, która go do krainy szczęścia ma zaprowadzić. Jest to opowiadanie bardzo rzewne, tchnące prawdą i prostotą: snać Sudermann sam wśród pieszczot Troski inaczej się chował. Bohater tej opowieści, prócz nadzwyczajnej dobroci, żadnych zalet ducha lub umysłu nie posiada; jednak życie jego zajmuje nas i serdeczne budzi w nas współczucie.

Nie ogranicza się atoli Sudermann na zaznaczeniu takiego lub innego rysu w człowieku lub naturze. Zastanawia się nad zagadkami bytu, bada przyczyny pewnych skutków, analizuje motywy, które pewien moment psychologiczny wywołują. Taką analizę psychologiczną znajdujemy w dwóch opowiadaniach: „Tajemnice młyna“ i „Życzenie,“ objętych ogólnym tytułem „Rodzeństwo,“ ponieważ w jednem i drugiem Sudermann przedstawia dramat, wywołany przez kolizye miłosne wśród rodzeństwa. Pierwsze jako słabsze pominiemy, drugie zasługują na baczniejszą uwagę. Siostry Marta i Olga kochają jednego człowieka; Marta kocha go świadomie, Olga do świadomości przychodzi dopiero w chwili, kiedy udaje jej się małżeństwo między siostrą a jej wybranym skojarzyć. Wezwana przez list siostry jedzie do niej; pielęgnuje ją w chorobie, starając się przytłumić uczucie dla szwagra, które z coraz większą siłą całą jej istotą owłada. Namiętność wzmaga się do takiej potęgi, że Olga przy łożu konającej siostry życzy i pragnie, z pobudek egoistycznych naturalnie, aby ta co prędzej umarła. Robet, za życia żony jeszcze, przychodzi do przekonania, że w wyborze się pomylił, że mężna energiczna Olga odpowiedniejszą, aniżeli słabą, bierna Marta, byłaby dla niego towarzyszką. Wyznaje Oldze swoją miłość, ta dziękuje mu za nią jednym gorącym pocałunkiem i — dobrowolnie umiera. W liście adresowanym do przyjaciela, a pisanym parę godzin przed zgonem, oświadcza, że karze się śmiercią za owo ohydne życzenie, którem się jak siostrobójczyni spodliła. Sudermann twierdzi tedy, że bywają przestępstwa niespełnione, niewypowiedziane, pod których zabójczem działaniem, jak pod działaniem zarazy dusza i ciało zanika; do rzędu takich przestępstw należy właśnie owo *życzenie*. Jest to, według Sudermanna jedna z ciemnych plam w naturze ludzkiej, jest to rys zwierzęcy, który dotychczas w człowieku jeszcze się nie zatarł. Bywało, naprzykład — opowiada autor — że umiera ojciec; syn najuczciwszy, najzacniejszy, lecz biedny, powołany do łoża swego rodzica, w myśli żywi życzenie, aby chwila stanowcza jaknajrychlej nastąpiła. Przyzwano mnie pewnego dnia — prawi przyjaciel Olgi, doktór, który w szkicu tym odgrywa rolę rezonera z dramatu — przyzwano mnie pewnego dnia do chorego dziecka. Matka dziecka tego, owdowiawszy, powtórnie za mąż była wyszła, drugi jej mąż dziecka nie znosił. Kobieta pielęgnowała synka z najczulszą troskliwością, a jednak w chwili, kiedy małżonek jej niespodzianie wszedł do pokoju, w oczach jej nagle ujrzałem błysk, który mówił: Ach, gdybyś ty umarł! Zazdrość, chciwość, pragnienie samodzielności, tęsknota, miłość rodzą owo straszne, występne życzenie, które jadem truje najuczciwsze, najczystsze serca. Za dawnych czasów, kiedy ludzie namiętności swoich hamować się nawet nie starali, myśl taka natychmiast wypowiadała się w czynie. Morderstwa, zabójstwa nawet w rodzinie częstym były wypadkiem — Schakespeare nie zna prawie innego dramatycznego motywu. *Życzenie* jest więc dawnym mordem, złagodzonym, zmodyfikowanym przez dzisiejszą cywilizacyę. Ludzie przeciętni żyją ze świadomością takiego występku, topiąc go w wirze innych cnót osobistych i społecznych; osobniki o naturze subtelniejszej chociaż częstokroć chorobliwej, histerycznej, skłonnej do melancholii, pod ukłuciem tej myśli — giną. Przyjmuje ona dla nich doniosłość czynu, za który pokutę widzą tylko w śmierci. Olgę zabija — życzenie.

Sudermann jest talentem niepospolitym lecz i na nim wiek piętno swoje położył. Umysł jego — to wstęga, na której życie najdrobniejsze notuje wrażenia: Sudermann każde wrażenie zosobna odda znakomicie, stworzy fotografię, obrazek, epizod, wreszcie nowelkę, w której znajdujemy niejednokrotnie zawiązek dramatyczny, mogący stanowić osnowę wspaniałego dramatu: opowiadania ciągłego, jednolitego, któreby płynęło równem, prostem korytem, Sudermann napisać nie potrafii. Dosyć przypatrzeć się robocie jego noweli, aby przekonać się, że zbacza wciąż to w tę, to w drugą stronę, chwyta ciągle nowe wrażenia i wskutek tego o właściwym przedmiocie opowiadania zapomina. Jest jakby zbyt leniwy, by wrodzoną żywość ująć w pewne pęta, nagiąć myśl do pewnego, przez artystyczne warunki wyznaczonego kierunku. Największą ma miłość dla słabych, biednych, smutnych istot; z popiołów, któremi zła dola serca te przyprusza, Sudermann tchnieniem poety rozdmucha zawsze jasną, ciepłą, a czasem i wielką iskrę. Zna doskonale smutek i wie gdzie go szukać. W noweli zajmuje się przeważnie badaniem serca ludzkiego: kwestye ogólne, tło społeczne dla dramatu widać sobie zostawia. Formę posiada świetną, olśniewa dyalektyką, bogactwem i obrazowością stylu.

Malwina Posner.

„Nim nasze drogi znów się rozminą,
  Pójdź w uścisk biedna dziewczyno!..“

Pieśń uroczyście konała w echu,
  Żalem drzew igły szumiały
A wtem wybuchnął nagle chór śmiechu,
  Że aż się zatrząsł bór cały.

Z wozów, z bicyklów tłum gości zsiada,
  Chrust łamie, pali ogniska,
Mieni się cała dziewcząt plejada,
  Mężczyźni czernią się zblizka.

Zwolna podróżni nasi zaczęli
  Łączyć się z gośćmi obozu
Zwłaszcza, że ci już radzi, weseli,
  Antałki ściągali z wozu.

Muzyka walca zagrała prawie
  I wnet płoczczanek rój młody
Z bicyklistami jął po murawie
  W taneczne mknąć korowody.

Sam nie wiem, jakim sposobem wszcząłem
  Z śliczną kobietą rozmowę
I jak ją ręką w pół owinąłem
  Jak w tańcu straciłem głowę.

Słyszałem wprawdzie, że tam od brzegu
  Liczne sygnały dawano,
Ujrzałem radcę z rodziną w biegu
  Przez tłum, wzdłuż leśną polaną.

Drzewa i brzegi, tłumy, ogniska,
  Dokoła nas wirowały,
A nam tak razem, a nam tak zblizka
  Z przed oczu zniknął świat cały...

„I cóż?! szepnąłem z ostatnim skrętem
  Tuląc ją silniej przy sobie,
Lecz ona czystym płockim akcentem
  Odparła: „Ot nicz... tak szobie!..“

Już niemal dziki szał ten majowy,
  Północnej dobiegał pory,
Gdy z resztką mojej płonącej głowy
  Na Płock ruszyłem przez bory.

XIII.

Nagle człowieka ujrzałem w kniei,
  Błąkał się patrząc w lazury,
Rachował złote gwiazdy z kolei
  I wzrok opuszczał ponury.

Sumiaste wąsy zwisły u wargi
  I tęgie bary owisły;
Zgadłbyś, westchnienia słysząc i skargi,
  To obywatel z nad Wisły!

Nie chciałbym dziś być obywatelem
  I orać piasek nad Wisłą,
Lecz chciałbym iść z nim, jak z przyjacielem
  Znajomość nawiązać ścisłą.

Nie chciałbym nawet dni wielu spędzić
  Z obywatelem z nad Wisły,
Lecz bodaj trochę z nim pogawędzić,
  Gdy mu tak wąsy owisły.

Chciałbym mu czoło owiać pogodą
  I nieco podnieść do góry
A przedewszystkiem za wspólną zgodą
  W butach załatać mu dziury...

— Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody
  Na gwiazdy robisz obławę
A śród błotnistej grzęzną ci wody
  Na ziemi buty dziurawe?

Tam w napowietrznych niebios kryształach
  Lśnią gwiazdy jak imperiały,
Lecz o niebieskich marząc migdałach
  Dlaczegoś tak osowiały?

„Nie o niebieskich migdałach marzę,
  Lecz ratę płacić mam jutro,
Bo Towarzystwo długu nie zmaże
  A radcy nosa mi utrą.

Żegnam się z ziemią, żegnam się z domem,
  Nie śnię o własnym zakątku,
Pragnę tu zostać choć ekonomem,
  Jeśli wylecę z majątku.

Gleba nie rodzi, sąsiedzi goli,
  Nie zrobię żniw za złotówkę
A chłopstwo tłumnie ucieka z roli,
  Choć Prus napisał „Placówkę...“

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY WIEDEŃSKIE.

W lutym.

Projekt budowy kolei miejskiej. — Posłowie galicyjscy w Wiedniu. — Wystawa muzyczno-teatralna. — Wiedeń odzyskuje sławę metropolii muzycznej. — Koncert Rubinsteina. — Nowa opera Masseneta „Werther."

Ożywioną rozprawę wywołał w parlamencie austryackim projekt stworzenia kolei miejskiej w Wiedniu. Przygotowywany od kilku lat, w ostatnich miesiącach zajmował publiczność i prasę. Wiedeńczycy mieli pretensyę, aby parlament uchwalił go jednogłośnie i bezzwłocznie. Tymczasem rzecz poszła zwykłą drogą: znaleźli się przeciwnicy z zasady, dalej tacy, którzy go zmieniać chcieli, inni znów, którzy wobec olbrzymich jego kosztów starali się przewlec sprawę. Na oponentów rzuciła się lewica, prasa i publiczność z prawdziwą furyą, utrzymując, jak zwykle w podobnych wypadkach, że interes stolicy jest dobrem całego państwa. Oburzenie to odnosiło się do młodoczechów i do galicyan. Dr. Herold w imieniu pierwszych stwierdził jeszcze w ostatniej chwili przed głosowaniem, że projekt rzeczony głęboką obudził niechęć w ich narodzie, gdyż zapowiada długoletnie utrwalenie systemu obecnego, który dba jedynie o Wiedeń i zaniedbuje stolice prowincyonalne. Dla Wiednia stworzono olbrzymi fundusz specyalny (Stadterweiterungsfonds), Praga zaś sama starać się musi o wszystko. Zarzucają czechom brak sympatyi dla Wiednia. Jeżeli istotnie tak jest, winien on sam temu, winna przedewszystkiem jego opinia publiczna, gdyż dotychczas Wiedeń zachowaniem swem wobec innych krajów i narodów korony austryackiej nie dowiódł charakteru stolicy państwa.

W inny sposób przemawiali posłowie galicyjscy. Opór ich nawet w początku rozpraw nie był zasadniczy; lecz Wiedeń, przyzwyczajony do powolności Koła polskiego i wzajem żywiący dlań sympatyę, czuł żal głównie do niego. Na zarzuty te odpowiadali w ostatnim dniu obrad posłowie Kozłowski i Rutowski. Pierwszy przypomniał wiedeńczykom, że Dunajewski, jako minister finansów, spowodował zniesienie linij akcyzowych, a hr. Gołuchowski, jako minister, państwa przywrócił Wiedniowi organizacyę autonomiczną i prawo wyboru rady gminnej, zawieszone przez lat dziesięć. Rutowski dowiódł szeregiem faktów, że posłowie galicyjscy bynajmniej nie są nieżyczliwi Wiedniowi, że natomiast wobec Galicyi lewica występowała zawsze stronniczo i nienawistnie. Projekt ustawy o regulacyi rzek galicyjskich chciała ona całkowicie odrzucić, a jeden z posłów miasta Wiednia wyrzekł wówczas, że gdyby parlament na to się zgodził, należałoby zerwać z bramy zamku cesarskiego słowa: „Justitia regnorum fundamentum."

Dzięki energicznym staraniom hr. Taaffego, projekt ustawy kolei wiedeńskiej przeszedł z nieznacznemi zmianami. Rzecz ta ma zresztą i komiczną stronę: nowa droga nie ma dla wiedeńczyków bynajmniej owego znaczenia, o jakiem piszą w gazetach i mówią na zgromadzeniach. Nie będzie to kolej miejska, lecz głównie strategiczna, okalająca miasto, zabezpieczająca transport żywności w razie wojny. Wiedeńczycy zaś wyobrażają sobie, że będą mieli podobną do berlińskiej. Tymczasem projekt zawiera jedną tylko taką linię, nieszczególnie dobraną, a budowa jej nie rozpocznie się przed dziesięciu laty. Na razie zaś budowa kolei opasującej miasto ożywi przemysł i handel i przyniesie Wiedniowi niezawodnie kilkudziesiąt milionów zarobku. I tem gardzić nie należy.

Aparat, stworzony dla przygotowania wystawy muzyczno-teatralnej, pracuje bez przerwy, a sądząc ze sprawozdań, będzie ona niesłychanie bogata i zajmująca. To też ludzie, którzy zwiedzali już cały szereg wystaw światowych i fachowych, a doszli do przekonania, że każda w gruncie rzeczy jest mniej lub bardziej zręcznie urządzonym „szwindlem," z zajęciem wyczekują jej otwarcia. Będzie to obraz nietylko historyi, muzyki i dramatopisarstwa, przedstawiony w samychże pomnikach, lecz zarazem zebranie najwybitniejszych kompozytorów, dramaturgów, wirtuozów i aktorów obecnie żyjących. Powodzenie przypisać należy częściowo dawnej sławie stolicy naddunajskiej, jako ogniska życia muzycznego i teatralnego, głównie zaś temu, że sprawą wystawy zajęły się koła t. zw. wyższego towarzystwa, które zainteresowały dla niej wszystkie niemal dwory i rządy. Sądząc z doświadczeń dotychczasowych, na pewno rzec można, że gdyby sprawa wystawy spoczywała wyłącznie w rękach artystów i literatów, byłby ją niezawodnie zabił biurokratyzm, który obecnie nakształt ułaskawionego tygrysa łasi się u stóp komitetów arystokratycznych.

Wiedeń zaczyna tedy zdobywać sobie z powrotem sławę miasta artystycznego, która zmniejszyła się nieco w ostatniem dziesięcioleciu, w miarę jak polityczne znaczenie miasta upadło. Tem tłomaczyć należy fakt, że w ostatnich tygodniach publiczność wiedeńska uczestniczyć mogła w dwóch pierwszorzędnych zdarzeniach artystycznych: Rubinstein wystąpił tu z koncertem po wielu latach milczenia, a Massenet w operze wiedeńskiej wystawił po raz pierwszy operę „Werther;" zanim jeszcze Paryż ją poznał. Mistrz fortepianu formalnie zatrząsł całem miastem, tak wysoce muzykalnem. Przy rozsprzedaży biletów entuzyaści o mało się nie podusili, a jedyny Hanslick ośmielił się zaprotestować przeciw afiszowi, na którym Rubinstein wypisać kazał tylko swe nazwisko i ceny miejsc, nie wymieniając utworów, które grać zamierza.

Massenet, którego opera „Cyd" słabe tu miała powodzenie, zdobył sobie Wiedeń przedostatnią p. t. „Manon." Obok Mascagniego stawiają go tu obecnie najwyżej wśród kompozytorów współczesnych, a koła arystokratyczne i artystyczne wydzierają go sobie. „Werthera" skomponował jeszcze w r. 1886, lecz nie wystawiał go, gdyż nie znał śpiewaczki, którąby stosowną była dla roli Lotty. Dopiero w Renardównie, niezrównanej jako Carmen i Manon, znalazł artystkę pożądaną. Pośpieszył się tem bardziej, że w „Cavallerii" Mascagniego dostrzegł ku niemałemu zdumieniu swemu melodye jakby wyjęte z partytury „Werthera." Aby zaś dowieść światu, że się nie zapożyczył, na kartce tytułowej libreta wydrukować kazał rok 1886. Jeszcze za życia Goethego i pani Kertner (Lotty) przerobiono „Werthera" na operę i to kilkakrotnie: w lutym 2792 r. dawano w Paryżu melodramat „Werther et Charlotte," z włochów opracowali temat ten: Pécciata (1805), Benvenuti (1811) i Cacia (1814). Łatwo się domyśleć, że wszystkie te opery nie zdołały oddać właściwego czaru swego źródła, a i o operze Masseneta rzec można, że jest mniej muzykalną, aniżeli książka Goethego. Akcya na scenie traci ów nastrój, jakim otoczyły ją słowa poety na kartkach pamiętnika; a okoliczność, że zgodnie z szablonem operowym u łoża śmierci Werthera umiera i ubóstwiana jego, bynajmniej nie potęguje wrażenia. Muzyka Masseneta, dowodząca jak zwykle niesłychanej rutyny i znawstwa efektów orkiestrowych, chwilami tylko przemawia do uczucia słuchacza, najżywiej może w owej scenie, kiedy Werther z Lot-

---

Dawniej... ach, dawniej było inaczej!
  Jeśli się szkół nie skończyło
Człek do karyery brał się oraczej,
  Życie szło gładko i miło.

Gdy to zawiodło miał synekury
  Lub wreszcie z sercem zbolałem
Działał na polu literatury,
  Sam pisać pamiętnik miałem.

Cztery ogromne tomy *in quarto*
  Z tendencyą neo-szalchecką,
Z światem wieść chciałem wojnę otwartą
  Z kulturą wieku zdradziecką.

O charakterze obywatelskim
  Pod koniec uwieńczyć dzieło,
W dopisku ująć obrazkiem sielskim
  To wszystko licho dziś wzięło!..

To wszystko prysło dla jednej raty!..
  Wtedy już chciało człeczysko
Jakiej żydówce sprzedać bogatej
  Serce i ładne nazwisko.

Lecz na tę wędkę już się nie łapie
  Plutokratyczny karasek,
Wyjadę ze wsi na jednej szkapie
  Gdzie lasek, za laskiem piasek...

Więc żal do świata zbudził się we mnie,
  Że dawno skończyłbym z sobą,
Gdybym się nie bał, wyznam tajemnie,
  Co będzie „tam" z mą osobą!

Czy „tam" są piekła, czy „tam" są nieba,
  Tego sam djabeł nie zgadnie,
Tu człek przynajmniej wie, że brak chleba
  I bodaj to wie dokładnie!"

XIV.

Tak obywatel z nad Wisły gwarzy,
  Z którym spotkałem się w knici
Opodal Płocka. Na jego twarzy
  Zgasły rumieńce nadziei.

Ale w źrenicach ognie błyskały,
  Patrzał na sosny, w pnie stukał,
Chojary smigłe, proste jak strzały,
  W konarach nocy ptak hukał.

Drżał obywatel, oglądał sosny,
  Znów mu rumieńce strzeliły,
Uderzył w czoło i krzyk radosny
  Ponuro drzewa odbiły.

Potem się zaśmiał, trzepnął w kolano,
  W końcu na szyi mej zwisnął,
Śmiał się i płakał... Gnąc jak polano
  Na śmierć mnie mało nie ścisnął.

Sądziłem zrazu, że losu zmiany
  W głowie zmieszały mu klepki,
Lecz krzyknął: „Jestem uratowany!
  „Mam pomysł! Ho, łeb mój krzepki!.."

I ręką wskazał głąb ciemnej knici,
  Gdzie sosny drzemały w mroku
A mnie się zdało, że już z kolei
  Huk siekier słyszę gdzieś z boku —

Że pada koron łuk tryumfalny
  W pięknym natury kościele...
Chociaż nie jestem sentymentalny
  Mrowie mnie przeszło po ciele.

To barbarzyństwo, które z naturą
  Jak Herod z dziatwą się para,
Krew burzy we mnie. Krzyknę: Szlachciuro,
  Zawsze w was siedzi psia-wiara!

Sądzę, że wielki wieszcz-koryfeusz
  Zbyt sielankowo was cenił,
Wszak w tobie dotąd tkwi Pan Tadeusz,
  Tylko na gorsze się zmienił!..

Pobierz się z jaką Zosią, a gdyby
  Romans ten nudnie się przebył,
To z Telimeną wychodź na grzyby
  I siedź, jak gdybyś już nie był!

(D. c. n.)

tą wracają nad ranem po balu do domu. Warto zaznaczyć, że w „Wertherze“ nie ma ani jednego chóru. Powodzenie próby generalnej i pierwszego przedstawienia było niezwykłe i przyćmiło nawet Straussowskiego „Pazmana.“

Stwosz.

Z GALICYI.

Głód. — Wystawa wschodnia. — Odnowienie maszyny. — Zebrania. — Jubileusz. — Wybory. — Emigracya. — Arlekinada. — Nowe związki w Kole lwowskiem. — Wykłady.

Kraj nasz objęły w ramiona głód i śnieżyca. Wichry, grające swoją symfonię burzy, naniosły tumany śniegu, tamując ruch na drogach i ulicach, zasłaniając świat, a kiedy zmora drożyzny przygniata coraz silniej zbolałą pierś ludności miejskiej, widmo głodu szerzy popłoch i rozpacz po wsiach, na co już nawet „władze autonomiczne“ zwróciły uwagę. Z danych statystycznych, zebranych w tym zakresie, posłużyć może za przykład sprawozdanie jednej z przeciętnych Rad powiatowych. Oto „w 62 gminach powiatu myślenickiego na 76,000 ludności około 62,000 osób wystawione są na głód i niemożność zasiewu na wiosnę. W 19 wsiach ani jedna rodzina nie posiada zapasów żywności.“ Z sąsiedniego powiatu donoszą, że „wysuszone i zmielone łupiny ziemniacze, pomieszane z plewami owsianemi i wodą zalane, stanowią jedyne pożywienie ludzi.“ Do Towarzystwa gospodarczego, do różnych władz i pism wszelkiej barwy nadchodzą codziennie hiobowe wieści o głodzie, który grozi całym powiatom i połaciom kraju. Dożyjemy niebawem Wereszczaginowskich obrazów zniszczenia, jak w owej zimie z 1889 r., kiedy to po żyznych polach Pokucia i Podola snuły się szkielety krów i koni, szukających pod śniegiem pożywienia, a nad nimi krążyły już stada wron i kruków, węsząc żer dla siebie rychły. Sfery rządzące nie mają już czoła zamydlania tych opłakanych stosunków, kierują jednak w niewłaściwą stronę organizacyę środków zaradczych. Szybka pomoc rządowa — oto jedyna na razie recepta, jeżeli nie mamy wejść na nowo w okres tyfusów głodowych i tym podobnych epidemij.

Więcej niż te ochłapy ze stołu dobroczynności prywatnej zaważą na szali roboty około nowych linij kolejowych, których cała sieć ma niebawem powstać na prowincyi. Koleje nasze, zbudowane przeważnie dla celów wojennych, przypadkowo tylko mieć mogą znaczenie ekonomiczne, kiedy kraj nasz do podniesienia gospodarstwa rolnego, do rozwoju przemysłu, ożywienia handlu, jako też do dania możności zarobkowania, potrzebuje dróg, któreby odpowiadały warunkom ruchu miejscowego. Takich, jakich potrzebujemy, t. j. ekonomicznych, rząd budować nie będzie, bo istniejące wystarczą mu zupełnie. Ciężar budowy ich spada przeto na kraj, ruch zaś kolei miejscowych powinien być tak urządzony, aby mieszkańcy okolic, przez które tor prowadzi, zdążać mogli łatwo do pociągów linii głównej, dla dostania się w porę na targi, sądy, zarobkowanie itd.

Na naszym jałowym bruku nie wykwitają aloesy i palmy złotowłose, ale wystawa ks. Pawła Sapiehy od kilku dni otwarta we Lwowie przenosi nas na daleki wschód. do Chin, Japonii — za morze. Mogłaby ona wywrzeć korzystny wpływ i na nasze wyroby, oduczając konwencyonalnej sztywności, która tak wszechwładnie u nas zapanowała, jakoteż podając tysiące pomysłów i motywów, szczególnie w ornamentyce. Dzieci wschodu odczuwają piękno natury inaczej, niż my zmateryalizowani europejczycy. Jeżeli ich krajobrazom zarzucić możemy brak perspektywy, to natomiast każdego w zachwyt wprowadzić musi gust i pomysłowość w ozdobach. Z przepysznych makat, które zakrywają wszystkie ściany sal wystawowych, uderza przedewszystkiem pięknością rysunku i starannością kolorów olbrzymi haft, na blado różowym, cieniutkim jak pajęczyna jedwabiu. Niedaleko okna zawieszono inną, nader oryginalną makatę, jaką ofiarowują sobie japończycy na prezent noworoczny. Środek jej zajmuje powinszowanie, drukowane na ciemnem tle złotemi literami; sziak haftowany, trochę może ciężki, przedstawia historyę życia codziennego japończyków. Dalej znajdujemy porozwieszano na ścianach liczne obrazy. Niektóre, jak np. raj buddystów i inne tak są artystycznie, dokładnie i pracowicie wykonane, że przypominają miniaturowe arcydzieła, zdobiące rękopisy średniowieczne. Na ścianie w pierwszym pokoju znajdujemy cztery salony przedstawiające w obrazach, objaśnionych komentarzami w języku miejscowym, historyę rasy aino z wyspy Jezo. Z okazów rzeźb w drzewie żelaznem (black-wood), z natury czerwonem, któremu japończycy wszelkiego rodzaju kolory nadawać umieją, zwraca uwagę przywieziony do nas z dalekiego wschodu posążek Buddy, jak zazwyczaj, w postawie siedzącej, ze wszystkiemi ozdobami do sześćdziesięciu centymetrów wysoki; mimo zachowania wszelkich cech, znamionujących tamtejsze wyroby, odpowiada w zupełności pojęciu piękna u europejczyków. Spokój i obojętność na wszystko, co ziemskie, tajemniczość otaczająca zewsząd swem zaklętem kołem i myśl głęboka odbijają się w rysach wielkiego proroka.

Nasza machina urzędnicza zaczyna się odmładzać. Padają stare drzewa „biurokratyczne, a wznoszą czoła nowe. Cała zmiana „kursu“ polega na zmianie szefów. Po zajęciu najwyższego posterunku w zarządzie dróg żelaznych przez Bilińskiego nastąpiły mianowania: Korytowskiego na naczelnika w skarbowości, Tchórznickiego w sądownictwie, a Seferowicza na kierownika poczt i telegrafów. Wszyscy trzej mają otworzyć arcyzamuloną śluzę awansów dla młodych sił, a emerytom dać zasłużony spoczynek. Wiek sędziwy bowiem jest dobą zażywania wywczasu i cichej błogości, a tylko u nas, aby nie utracić „dodatków,“ nie chce się nikt „pensyonować.“

Z kroniki społecznej zapisać można na rachunek dorobku tegorocznego dwa zjazdy galicyjskie: kongres robotniczy, tudzież wiec ruski, który zgromadził po raz pierwszy tysiące chłopów do Domu narodnego. Natomiast nie udały się próby zaszczepienia na gruncie galicyjskim jubileomanii. Obchód 50 rocznicy A. Małeckiego nie wychodzi po za granice wpływu sztucznych fajerwerków, a 25-letnia uroczystość założenia „Czytelni akademickiej“ nie zdoła ogarnąć szerszych warstw, dopóki duch profesorów uniwersyteckich, zażywających niedobrej u nas opinii, roztaczać będzie nad nią swe opiekuńcze skrzydła.

Demoralizacyę obywateli stwierdza nowy wybór poselski do sejmu z Krakowskiego, który wypadł jednogłośnie prawie na korzyść adwokata dr. Paszkowskiego i był podobniusieński do swoich poprzedników. Kiełbasa i gorzałka odegrały swoją rolę, a w sali, gdzie głosowanie się odbywało, rej wodził członek komisyi ks. prałat, który przezywając „waryatem“ każdego wyborcę, zamierzającego głosować na włościanina, używał gwałtów. Równocześnie rozlegają się echa wyborów Blochowskich w sądzie Kołomyjskim w procesie przeciw 14 osobom obwinionym o gwałt publiczny w Śniatynie. Akt oskarżenia powołuje do rozprawy 35 świadków dowodowych, oskarżeni podali tyleż odwodowych — a tymczasem przekupstwa i antysemityzm szerzą się dalej.

O ruchu wychodźczym w naszym stronach dają miarę następujące cyfry urzędowe. W miesiącu styczniu r. b. przybyło do Oświęcimia z zamiarem emigrowania do Ameryki 499 osób, a między niemi 394 z Galicyi. Policya nawróciła z drogi dla braku paszportów lub dostatecznych środków na podróż 109 osób; najwięcej wychodźców dostarczył powiat jasielski, a mianowicie 63, drugie miejsce zajmuje — sanocki z cyfrą 55, następują potem powi aty: kolbuszowski (34), krośnieński (28) i t. d. W tymże samym miesiącu przejechało przez Oświęcim, wracając z Ameryki, 819 osób, 584 z Galicyi. Liczba żydów ruskich, którzy w ubiegłym miesiącu przejechali przez Oświęcim do Ameryki, wynosiła 145 osób.

Lwowska izba handlowo-przemysłowa. której widocznie zależy na podniesieniu animuszu, urządziła sobie arlekinadę. W myśl statutu, „Rzeczypospolitej babińskiej,“ która w niezwykły sposób obsadzała naczelne stanowiska (ministrem oświaty zostawał ten, kto czytać nie umiał a ministrem handlu, kto był w ciągłem nieporozumieniu z tabliczką mnożenia), wybrała do Rady kolejowej ludzi, którzy o kolejach wiedzą chyba tyle, że się przejechali parę razy do roku. Wogóle kwalifikacya zawodowa, to u nas urojenie — czyż znachor ludowy nie zapędzi łatwiej do grobu, aniżeli lekarz, a pisarz pokątny prędzej do kryminału, niż obrońca?.. Kto umie ugotować dobry bigos, ten i innego bigosu nawarzyć potrafi. A zresztą czy w radzie kolejowej zasiadać muszą sami tylko znawcy, ażeby nawzajem przegadywać się mieli? Im mniej fachowców, tem lepiej, jeden weźmie ich za łeb i basta!

Z Krakowa donoszą o założeniu nowej „Czytelni“ w łonie Akademii Umiejętności, której brak może nietyle światła nauki, ile bezstronności, tudzież o powstaniu nowego „Związku literackiego.“

W lwowskiem Kole literackiem zaczynają elektryzować atmosferę „nieliteracką“ zapomocą starego, ale, wypróbowanego środka — odczytów i artysto - muzycznych produkcyj. Najbardziej udatnym był wykład J. Kasprowicza o Dranmorze, współczesnym szwajcarskim poecie kierunku społecznego, którego wiersze przytaczane w pięknym przekładzie prelegenta sprawiły silne wrażenie na kobietach. Do najciekawszych zaś popisów należały przedstawienia z scyoptykonem lwowskiego klubu miłośników fotografii. Znane są postępy fotografii w ostatnich czasach oraz zastosowanie jej w sztuce, przemyśle i ścisłej nauce. Zastosował ją w Kole przy wykładach z działu mikroskopii Szpilman, mówiąc o bakteryach. Zwykłe fotografie nie nadają się do tego celu, trudno bowiem oświecić je do tego stopnia, aby zniosły silne powiększenie.

W wykładzie dr. Szpilmana, który nie zgromadził takiej liczby słuchaczów, jak na to zasługiwał sam przedmiot — prelegent posługiwał się w charakterystyce rozwoju mikro - organizmów podobnymi obrazami świetlnymi na ekranie, które w stutysięcznem powiększeniu tych żyjątek zabójczych dawały przybliżone o nich pojęcie.

Beta.

Z POZNAŃSKIEGO.

22 lutego.

Reforma szkolna. — Wiecowanie w Poznańskiem. — Jezuici. — Warta, jej wylewy i regulacya.

Żaden fakt, żadne zdarzenie nie poruszyło od lat dwudziestu umysłów obywateli niemieckich i nie rozdrażniło ich tak dalece, jak wniesiony obecnie przez rząd do parlamentu projekt reformy szkolnej. Nie o drobnostkę tu chodzi, bo o całą przyszłość młodego pokolenia, o to, jak zostanie wychowane, pod czyim wpływem. Dotychczas dążono systematycznie do rozdzia-

łu kościoła od państwa, do pozostawienia obu tych czynników niezależnymi od siebie, a może nawet od nadania lekkiej przewagi państwa nad kościołem. Pokolenie, wzrosłe wśród tych zasad, ukształcone w tej szkole zbyt dobrze poznało korzyść z takiego urządzenia pochodzącą, by chciało się go pozbyć. Reforma ustawy pragnie użyczyć księżom znów pewien wpływ na wychowanie młodzieży, oddać ją znowu im w opiekę dla oślepienia. Naprzód przeciw reformie zaprotestował Berlin: tu oparł się jej nietylko ogół ludności na licznych zebraniach publicznych, uniwersytet, na czele którego stoją nawet radcy ministeryalni, ale i duchowieństwo ewangielickie. Przykład stolicy pociągnął za sobą prowincyę, z której codziennie nadchodzą stosy petycyj, a ruch ten dotarł jednym kręgiem swej szerokiej fali do nas w Poznańskiem. Z początku dzienniki traktowały sprawę w sposób ściśle akademicki, lecz gdy pewna część ludności, niemiecka, energicznie oświadczyła się przeciw projektowi szkolnemu, poruszyła konserwatywną i liberalną (sic) prasę polską jedna myśl: poprzeć czynnie projekt rządowy, skoro wszyscy są przeciw niemu. Nic łatwiejszego, jak takie czynne poparcie przeprowadzić w Poznańskiem, gdzie wszystko rozwiecowane. Rzucono tedy okrzyk i dziś wiecujemy dlatego, aby do skutku przyszła ustawa, której nawet katolicka, konserwatywna Austrya, w znacznej części jezuitami przepełniona, swemu parlamentowi zaofiarować się nie ważyła. Wiece kończą się podpisywaniem petycyj do parlamentu. Odbyły się one w Nowem, Rogoźnie pod Grudziądzem, Osiu, Cysowie, Młyńcu pod Turznem, Tucholi, Lisowie, Lidzbarku, Wałdowie w powiecie złotowskim, Radoszkach, Opaleniu, Kielnie, Krobii, Brusach, Szynwałdzie, Sztumie, Straszewie, Podstolinie, Starymtargu itd. itd. Połączono je jeszcze z drugą sprawą, mianowicie, w jakim języku ma się odbywać nauka religii. Ta ostatnia posiada za sobą zupełną słuszność.

Prawdopodobnie skończy się wszystko na hałasie, jak się skończył zamiar odwołania jezuitów, dla których tyleśmy się nawiecowali daremnie, bo samo centrum oświadczyło dobrowolnie, iż od cofnięcia banicyi na szanownych ojców odstępuje. Nic ciekawszego, jak forma tego odwrotu. „Jeżeli to sami czynimy — powiedział znany przewódca centrum hr. Balleström — to ze względu na fakt, że chwilowo, z powodu wniesienia w Prusach projektu szkolnego, wywołane zostało wielkie, chociaż według naszego zrozumienia nieuzasadnione wzburzenie umysłów w kraju. Przyszliśmy do przekonania, że obrady nad znanym wnioskiem nadużyte by zostały do większego jeszcze zaostrzenia wywołanych obecnie przeciwieństw; sądzimy, że ojczyźnie wyświadczymy przysługę, gdy my sami do tego nie damy przyczyny.“

Ten patryotyczny zwrot w ustach przewódcy centrum (jest to zresztą głośną dziś tajemnicą) znaczy tyle, co: skoro przejdzie projekt szkolny, przeprowadzimy jezuitów.

Warta, o której regulacyi w zeszłej korespondencyi pisaliśmy, znów pustoszy. Ledwie rozpoczęła się odwilż, ledwie trochę lód zwolniał, już kra się piętrzy, a woda ogarnia olbrzymie obszary. Zaraz z początku wylała na tamę berdychowską, zajęła łąki dębińskie i część drogi dębińskiej. Straż ogniowa rozpoczęła tedy pracę około rozbijania kry, począwszy od Wielkiej szluzy, co zrazu przyniosło pewną ulgę. Wnet jednak woda znów urosła, skacząc coraz wyżej. Zrazu stan jej wynosił 2,64 metry, wnet przeszedł na 3,18, a w przeciągu 24 godzin dalszych podniósł się na 4 metry, tj. urósł w przeciągu tak krótkiego czasu o 82 centymetry. To też pod wodę dostała się ulica Wenecka i cała droga Dębińska, tak, iż komunikacya odbywała się za pomocą łodzi. Z pomocą straży ogniowej przybyły na rozkaz komenderującego generała Seeckta dwa oddziały pionierów i tym udało się rozbić 3 otwory Wielkiej szluzy, wskutek czego woda zaraz opadła o 12, a następnie o 16 centymetrów. Komisya, odbywająca właśnie posiedzenie nad kwestyą regulacyi, mając przed oczyma straszny widok, okazała się zgodniejszą i ochotniejszą do spiesznego załatwienia sprawy. Uchwalono przedstawić Radzie miejskiej wniosek o uchwalenie 2,000 m. na zasięgnięcie zdania o projektach regulacyi Warty od wyższego dyrektora budowniczego Franziusa z Bremy i przesłania mu całego materyału dotychczasowych projektów.

t. z.

OSADNICTWO POLSKIE.

w Ameryce Południowej.

II.

Dając informacye o stosunkach kolonizacyjnych w Brazylii, p. S. zastrzega, że ma na myśli rząd federacyjny i ustawy w całem państwie obowiązujące, oraz tylko 4 stany południowe: Sao Paulo, Parana, S-ta Catherina i Rio Grande do Sul, jedyne, w których rolnictwo iście europejskie istnieje i istnieć może. Nadto zaś, zaznacza, iż „przy wprowadzonym po detronizacyi Dom Pedra II ustroju federacyjnym decentralizacya jest bardzo wielką.“ Każdy stan, obok ogólnych ustaw państwowych, posiada własne prawa i urządzenia miejscowe, częstokroć wprost przeciwne duchowi — związkowych. Co większa, przy małem zaludnieniu prowincyj południowych i obowiązkowej naturalizacyi cudzoziemców — osadników, wyraża nadzieję, że napływ kilkunastu tysięcy europejczyków może z czasem przeważyć szalę polityki miejscowej na tę lub ową stronę i zapewne niedaleką jest chwila, gdy w południowej Brazylii ster rządu obejmą napływowe pierwiastki, usuwając rodowitych tubylców (portugalczyków) na plan dalszy. Ta dążność objawia się już dzisiaj, wytwarzając antagonizmy rasowe. Stąd wypływa stan rzeczy w każdej prowincyi odrębny i dlatego też p. S. o Brazylii nie umie powiedzieć nic ogólnego. W kraju tak dużym, jak prawie cała Europa, wytwarzającym jednocześnie kakao, kauczuk, trzcinę cukrową. kawę i kartofle, nie tylko żadne ogólne określenie warunków społeczno-ekonomicznych nie jest możliwe, ale nawet klimatu i gleby. To też p. S. tylko pobieżnie zaznacza różnice 4 stanów południowych, które są główną widownią osadnictwa naszego w Brazylii.

Sao Paulo, najbogatsza i najruchliwsza prowincya, posiada w swoich rękach cały handel kawą. Dwie posiadłości, dawniej niewolnicze, przeważają tam nad drobnemi fermami. To też w polityce wewnętrznej stronnictwo t. zw. „paulistów,“ czyli wielkich posiadaczów gruntowych, jest najbardziej wpływowe. „Tradycye niedawno zniesionego niewolnictwa są jeszcze zbyt żywe, aby od czasu do czasu nie zapominano o tem, że emigrant europejski nie jest murzynem.“ Chociaż liberalne prawa rzeczypospolitej oświadczają się za kolonistami, ale są papierowemi i potęga „paulistów“ ugina je.

Parana ma być krajem nawskroś chłopskim: wielką własność reprezentują tylko nieliczni „fazendeir'owie,“ prowadzący hodowlę bydła na wyżynach „campu.“ Jest to jedyna prowincya w Brazylii, gdzie cudzoziemcy już dzisiaj posiadają większość wyborczą i wywierają wpływ na administracyę miejscową.

S-ta Catherina i północna część Rio-Grande do Sul mają klimat cieplejszy niż Parana, odznaczają się lesistością i górzystością i są bardzo mało zaludnione. Gospodarują tam przeważnie niemieckie spółki osadnicze, jak „Hamburger Colonisationsgesellschaft,“ „Agencya d-ra Blumenau“ i wiele innych. Kolonie rządowe polskie i włoskie istnieją tam dopiero od zeszłego roku.

Południowa część Rio Grade do Sul jest stepem bezleśnym, podobnym do Urugwaju. Ludność, przeważnie hiszpańska, prowadzi hodowlę bydła, koni i mułów — rolnictwo prawie nie istnieje.

Na te obszary wylewa się obecnie nasz potok wychodźczy. Pierwsza jego fala wdarła się tam równocześnie z emigracyą niemiecką w 1870 r. Byli to wychodźcy z Prus wschodnich i Szląska, sprowadzeni przez hamburskie towarzystwo kolonizacyjne i agencyą d-ra Blumenau'a do stanu św. Katarzyny. Siedziby niemieckie powstały w okolicach Dona Francisca i Itajahy, w koloniach Sao Bento i Brusca. Towarzystwa przewoziły ich bezpłatnie, żywiły przez kilka dni, a potem wydzielały kawał lasu do karczunku na wypłaty. Zbyt gorący klimat, brak żywności i szykany ze strony niemców były powodem, że bardzo wielu naszych osadników jęło się oglądać za innemi siedzibami. W następnym roku zjawił się w Brusce młody szlązak, geometra, Edward Zaporski, który łącznie z pewnym księdzem polskim przesiedlił kilka rodzin do sąsiedniej Parany, do Curitiby, drobnej podówczas osady, i wydzielił im po 5 morgów ziemi leśnej na gruntach miejskich. Otoczono wychodźców opieką i dano im zajęcie przy robotach rządowych. Zasiane żyto i kartofle wydały pomyślny plon i w ten sposób powstał pierwszy zawiązek osady polskiej pod Curitibą.

Wkrótce wszyscy prawie polacy pruscy sprowadzeni do św. Katarzyny przenieśli się w okolice Curitiby, gdzie znajdowali opiekę czynną ze strony p. Zaporskiego i ks. Ludwika Przotarskiego, kaszuby z pod Gdańska. W kilka lat później ks. Gurowski z Galicyi rozwinął agitacyę pomiędzy mazurami w okolicach Gorlic, którzy podążać zaczęli do nowej osady pod Curitibą, Thomas Coelho, mającej za proboszcza księdza Soję, bernardyna z Tarnowa; parafią szląską Abranchez zarządzał ks. Gurowski.

Stopniowo, bez sztucznej agitacyi, tylko przez napływ krewnych i przyjaciół osadników polskich, liczba ich pod Curitibą dosięgła poważnej cyfry 15,000 zamożnych gospodarzy, którzy zafundowali sobie kilku księży i sporządzili aż 6 kościołów. Miejscowość ta jest szczególnie łaskawą dla osadników naszych, gdyż obdarza ich urodzajną glebą, łatwym zarobkiem i zbytem ziemiopłodów w rosnącem wciąż, w miarę rozwoju osad — mieście. To też obecnie koloniści polscy z okolic Curitiby, pochodzący wyłącznie z Galicyi i Prus, zagarnęli cały obszar ziemi w promieniu 6 mil od miasta — drogą wykupu jej od osadników włoskich, niemieckich i brazylijskich, wypierając ich coraz bardziej w głąb lasów. Oto są nazwy tych osad chłopskich: Thomas Coelho, Pilarzinho, Orleano, Abranchez, Gabriella, Morisi, Lamenha, Butya Tuba i kilka innych, których brzmienia p. S. nie zapamiętał. Mieszkańcy ich są jedynymi dostawcami żywności na targi miejskie: włosi sadzą tylko wino, a niemcy trudnią się furmaństwem. „W dzień targowy — powiada p. S. — Caritiba robi wrażenie polskiego miasteczka: włościanie bowiem zachowali swój strój, wózki i zaprząg krakowski.“

Inne natomiast były losy gromady wychodźczej, którą zeszłego roku zwabili agenci. „Mniej wytrzymali, mniej nawykli do systematycznej twardej pracy, pomimo znacznie korzystniejszych warunków, jakie im rząd brazylijski ofiarował, ciężko opłacili swoje niedoświadczenie — bo blisko 30% ich zginęło wśród zawieruchy emigracyjnej.“ Ciekawe są sprężyny tego pędu owczego, które w wędrówce swojej namacał p. Siemiradzki. Pierwszą twórczynią agitacyi wychodźczej w Królestwie była spół-

ka emigracyjna złożona z Bendaszewskiego, kupca z Curitiby i jego wspólnika, słynnego Jose dos Santos, osiadłego w Lizbonie brazylijczyka i ks. Gurowskiego. Ten ostatni wplątał się do niej, jeżeli nie z żądzy „przebrzydłej mamony,“ to niewątpliwie powodowany będąc pobożną żarliwością ściągania na ląd brazylijski jaknajwiększego stada owieczek, któreby zapełniały pustkę dość licznych kościołów. Jose dos Santos, zapuszczającey wędkę po naszych siołach, był tylko ślepem narzędziem przedsiębiorstwa, które zawarło z rządem brazylijskim umowę na dostawę 50,000 wychodźców niemieckich i polskich. Jak w wielu razach innych, tak i w tym usługa zakończyła się — „nadusługą.“ Zamiast 50,000 w przeciągu kilku miesięcy rząd otrzymał aż 100,000 samych polaków, z którymi nie wiedział co począć. Na tę chwilę powodzi natrafili właśnie pp. Dygasiński i Chełmicki. Co pchnęło rząd brazylijski do żądania tylu ludzi? Był on wiernym wykonawcą potrzeb plantatorów kawy, zapewne owych, wyżej pomienionych „paulistów,“ którzy nań największy wywierają nacisk. Niektórzy z przybyszów naszych znaleźli u nich dobre warunki bytu, ale większość traktowana w sposób nieludzki i wyzyskiwana przez plantatorów, opuściła ich i tuła się po Brazylii o chlebie żebraczym: „Z chwilą gdy przekroczyli progi hotelu emigracyjnego — powiada o tych biedakach p. S. — rząd umywa ręce i żadnej dalszej opieki im nie udziela; tak samo, gdy kolonista do innego stanu przechodzi, traci prawo do opieki komisyi kolonizaeyjnej i urzędów emigranckich. Prawa te emigrantom nie były znane, rozmówić się nie umieli, granicy stanów nikt nie strzegł — wędrowali tedy piechotą do Sao Paulo na południe, aż się oparło wielu w Montevideo i Buenos-Ayres; wynędzniali, zbałamuceni, podejrzliwi, do żadnej pracy niezdatni i, co gorsza, pracować niechcący — trafili, jak to mówią, z deszczu pod rynnę.“ Z nich to rekrutują się obecnie żebracy polscy w Rio-Janeiro, Santos, Porto-Allegre i Buenos-Ayres. P. Siemiradzki twierdzi, że oni to właśnie, cierpiąc najciężej, narobili najwięcej hałasu, rzucającego tak ponure światło na wychodźtwo, że najmocniej zawiedzeni w nadziejach, napletli niestworzone rzeczy o Brazylii. Ci krzykacze uchodzą w jego oczach za „szumowiny“ społeczne, za wyrzutków, „którzy porzuciwszy w kraju żony i dzieci, pędzili po złote runo bez pracy (?!).“

Najlepiej wyszli na emigracyi rzemieślnicy. W miastach większych, zwłaszcza w Rio Janeiro i Sao Paulo, znaleźli oni zarobek dobry i nie bardzo trudny, a to, dzięki istniejącemu od roku towarzystwu polskiemu, które spełnia rolę biura pracy dla wychodźców. Stara się ono nawet zatrudniać z kilkaset robotników przy robotach miejskich.

Przechodzimy z kolei do właściwych stosunków osadniczych w Brazylii, do techniki kolonizacyjnej rozwiniętej przez rząd rzeczypospolitej w ostatnich czasach. Te dane są bodaj najcenniejszemi w artykule p. S.

Z. A. P.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Leopoldski.

W tych dniach grono posłów, literatów i artystów złożyło wieniec na trumnie Leopoldskiego, który zmarł tu w prawdziwej nędzy. Życie słynnego niegdyś portrecisty i malarza rodzajowego było pasmem cierpień, mimo niezwykłego talentu i powodzenia. Między r. 1858—62 wystąpił Leopoldski w Krakowie po raz pierwszy z kilkoma obrazami i odrazu zwrócił na siebie uwagę kół wykształconych. Jego „Zakonnica modląca się w krużganku klasztoru“ pozostaje na zawsze w pamięci każdego, kto ją oglądał: tyle tam skupionego życia i melancholii. Obok talentu Leopoldski posiadał umysł wszechstronny, głębszy, zdobył sobie obszerną wiedzę encyklopedyczną, a nadto gruntowną znajomość historyi sztuki, literatury i estetyki. Dzięki tym własnościom, żyjąc w Krakowie, pozostawał w ściślejszej przyjaźni z wybitnymi uczonymi i artystami. Mimo to i mimo powodzenia, objawiał bezustannie głębokie niezadowolenie z siebie i świata. Pierwszą, główną przyczyną tego pesymizmu było jego pochodzenie. Leopoldski urodził się jako syn naturalny; nosił on imię matki, z ojcem zaś, żyjącym w Krakowie, pozostawał w stosunkach, odbierał bowiem od niego zasiłki pieniężne. Fakt ten znany był ogólnie, a chociaż nikt artyście czuć tego nie dawał, Leopoldski sam czuł się nieswoim, przypuszczając, że wszyscy spoglądają nań z pogardą, z politowaniem lub szyderstwem. To też, drogą naturalnej reakcyi, wcześnie wpadł w zarozumiałość i pychę, a równocześnie gorycz, która paraliżowała jego twórczość. Żył bezczynnie, żaląc się, że świat mu w robocie przeszkadza. Lecz nietylko stosunki zewnętrzne przygnębiały go; bardziej jeszcze właściwości umysłu. Owa wszechstronna i gruntowna wiedza, jaką sobie przyswoił, wysoce rozwinęła jego zmysł krytyczny, a skłonność do rozumowania nad własnemi pracami sprawiała, że mnóstwo rzeczy zaczynał, a niczego nie kończył. Jednak w odstępach kilkoletnich stworzył parę dzieł znakomitych; jego „Klucznik Gerwazy“ pozostaje w posiadaniu muzyka Marka we Lwowie; „Zgon-Acerna (Klonowicza)“ znajduje się w klasztorze oo. jezuitów w Lublinie. Nadto wykonał w Krakowie kilkanaście udatnych portretów. Wreszcie, mimo szczerej życzliwości przyjaciół, czuł się zmuszonym opuścić Kraków. Przeniósł się do Lwowa, gdzie spędził parę lat bez najmniejszej dla siebie i dla sztuki korzyści. Dopiero przybywszy do Wiednia, gdzie pozostał aż do końca życia, rozpoczął nowy okres twórczości. Tu przyjęto go nader życzliwie. Dzięki przyjaźni b. ministra Ziemiałkowskiego, otrzymał zlecenie wykonania portretu cesarza (w ministeryum galicyjskiem); portretował jeszcze Ziemiałkowskiego, Grocholskiego i wielu innych. Z obrazów historycznych i rodzajowych, które wykończył w Wiedniu, wymieniamy „Karola V“ (w posiadaniu bar. Ziemiałkowskiego) i prześliczny obrazek rodzajowy „Weterani w dziedzińcu Belwederu, przypatrujący się żołnierskiej zabawie dzieci.“ Obrazem tym zdobył sobie w Wiedniu rozgłos, który byłby mu umożliwił dostateczny zarobek, gdyby Leopoldski był człowiekiem normalniejszym. Niewielu artystów cieszyło się takiem uznaniem i poparciem: wszyscy wybitniejsi mecnaasi sztuki naszej w Wiedniu zamawiali u niego prace. Znajdujemy olejne obrazy lub akwarele Leopoldskiego w zbiorach ks. Jerzego Czartoryskiego, hr. Lanckorońskiego, dr. Rapaporta, Kazimierza Chłędowskiego, a nawet w posiadaniu osób mniej wybitnych. Lecz do drobnych tych szkiców żadnej nie przywiązywał wagi. Usposobienie jego w Wiedniu nie zmieniło się. I tu głosił wiecznie żale na niewdzięczny świat, płodził olbrzymie pomysły, do których wykonania nie przystępował, co gorsza, puścił się na zwykłe drogi bohemii artystycznej: brał zadatki, rozpoczynał zamówione prace i nie kończył ich. To też dawno, zanim znakomitemu portreciście, Leopoldowi Horowiconi, dano przydomek „der Anfänger,“ mianem tem ochrzczono Leopoldskiego. W ostatnich latach wprost przestał tworzyć rzeczy wyższej wartości artystycznej, pracując jedynie dla handlarzy, produkując towar tuzinkowy, przeznaczony na wywóz. Nie tracił przytem wysokiego o sobie rozumienia i pogardy dla wszystkich innych istot, ośmielających się dzierżyć pędzel. Smutny to, prawdziwie tragiczny proces psychiczny, którego ofiarą padł jeden z najzdolniejszych artystów szkoły krakowskiej. Oby mu lekką była ziemia, która za życia tak go parzyła.

S.

LIBERUM VETO.

Dwa pewniki i dwa fakty wyłączające się wzajem. — Słabostki arystokratyczne. — Malejący postęp marzeń rodzicielskich. — Przenoszenie rozczarowań życiowych do jałmużny losu. — Mijanie się sprzedawców pracy z jej nabywcami. — Fabryka kapeluszów w Głogowcu. — Brak rynków i pośredników handlowych. — Czynnik niezbędny. — Konwencya papiernicza. — Marzenia chmielarzów.—Zazasłoną wzajemnych umizgów.

Jest w życiu naszem cała sieć błędnych kół i kółek, które omija uwaga ogółu, a od których w wysokim stopniu zależy jego pomyślność. Tak np. wszyscy powtarzamy niewzruszony pewnik: masa ludzi nie może u nas zdobyć sobie pracy, do której są uzdolnieni. Kto o tem wątpi? Nikt, a każdy, czy sam dotknięty przymusowem bezrobociem, czy wzruszony niedolą innych, rozmyśla nad rozwiązywaniem supełków tej ważnej kwestyi. Jeżeli wszakże zwrócimy się do tych, którzy dają zajęcia, usłyszymy od nich również niemylny pewnik: brak nam ludzi odpowiednio uzdolnionych do pracy. Zdawałoby się, że tu jedno lub drugie z tych twierdzeń jest błędne, że zachodzi jakieś nieporozumienie, że nie mogą równocześnie istnieć obok siebie dwa zjawiska, które wyłączają się wzajem. A przecież tak jest: nie mamy pracy i nie mamy ludzi do pracy. Niech *Kuryer* bąknie, że na kolei będą otworzone dwie nowe posady: w tej chwili poda o nie prośby 3,000 kandydatów. Ogłoście, że potrzebujecie korepetytora: nazajutrz przyleci stu. Naodwrót zechciejcie sobie wynaleźć nauczycielkę, rządcę, ogrodnika, gorzelanego... Ile was to kosztować będzie starań, pieniędzy, zawodów — i ostatecznie dostaniecie kogoś, kto od biedy może pełnić swoje obowiązki, ale wcale nie z pożądaną przez was sumiennością i umiejętnością. Ot poprostu zatkaliście dziurę ciałem ludzkiem. Wytłomaczenie tego dziwnego objawu spoczywa po części w naszej naturze, po części w naszych stosunkach. Polak, nawet przygięty do ziemi biedą, zdeptany i sponiewierany przez los, nie przestaje być arystokratą, istotą, która nie chce przebywać na dnie życia, lecz koniecznie pragnie unosić się na wierzchniej jego fali. Dla tego o ile może najdłużej wzdryga się przed zajęciami, które nie odpowiadają temu upodobaniu i dopiero wtedy, kiedy nie ma wyboru, chwyta wszelkie jako deskę ratunkową. Uprzytomnijmy sobie nasze wychowanie i marzenia naszych rodziców średniej warstwy. Dopóki ich syn jest w pieluchach, roją, że będzie bogatym panem lub wysokim dostojnikiem. Gdy podrośnie, godzą się na to, ażeby używał dobrobytu lub otrzymał znaczny urząd. Gdy skończy lub nie skończy szkół, myślą już tylko o tem, ażeby miał jakieś stanowisko. Gdy wreszcie znajdzie zatłoczone i zamknięte wszystkie instytucye, niewymagające od swych pracowników żadnego specyalnego uzdolnienia, sam już wytęża swe starania, ażeby „się zaczepić o cokolwiek.“ I oto człowiek, który był przeznaczony w kolebce na ministra lub prezesa, zostaje konduktorem tramwajowym lub kancelistą w powiecie, *nb.* konduktorem lub kancelistą lichym. On bowiem nie przygotowywał się do tego zawodu, nie obrał go z zamiłowania, lecz z musu, wstrętnego musu. Pracując z uczuciem gwałtu, dokonanego na własnej naturze, odrabia swe czynności źle i niesumiennie. Takich jednostek wykolejonych, takich ofiar rodzicielskiego i swojego złudzenia, takich rozbitków chwytających się słomy dla wypłynięcia z toni — jest u nas niepoliczone mnóstwo. Oni to tłumem zalegają

rynek podaży pracy, której dostać nie mogą, zdatni do wszystkiego i do niczego, łaknący zarobku i pogardzający nim, zajmujący rozmaite miejsca nie prawidłową koleją swego rozwoju, ale dzięki przypadkowi. Ten sam, który został rządcą folwarku, urzędnikiem kolejowym lub subjektem w sklepie, przy innej grze trafu mógł zostać dyetaryuszem w magistracie, dozorcą kopalni wapna lub kontrolerem sprzedaży piwa. Bezładowi produkcyi w tegoczesnem społeczeństwie odpowiada bezład wychowywania i kształcenia ludzi, a jeżeli on nadto opiera się na gruncie tak nasiąkłym przesądami, jak nasz, musi objawiać się chaosem. Nie mając żadnego planu, tylko najczęściej fantastyczne rojenia, przygotowując dzieci nie do walki o byt w warunkach rzeczywistych, lecz do odgrywania roli w bajce, której życie nie daje podstawy, czynimy z nich wcielone omyłki naszych rachub i dostarczamy na targowisko pracy ogromny zastęp ludzi dla żadnej potrzeby nieprzydatnych, zgoryczonych, skwaszonych, a przenoszących tę nieudolność, ten kwas i tę gorycz na zdobyte z trudem lub przez miłosierdzie losu stanowisko. Gdybyśmy rodzicom zalecili, ażeby swego syna od najpierwszej młodości skierowali na drogę kupiecką lub przemysłową, przejęłaby ich zgroza, która później ustępuje miejsca zachwytowi, jeżeli on po daremnych próbach zostania dygnitarzem zdobędzie miejsce w fabryce lub sklepie.

Ale ów legion żebraków pracy, chociaż liczny, nie ogarnia wszystkich poszukiwaczów tego nowoczesnego złota. Są całkiem uzdolnione do niej gromady, które skazuje na bezczynność zwiększony nieład produkcyi lub które cierpią pragnienie, nie wiedząc, że tuż obok nich bije obfite źródło. Ten ostatni wypadek spotykamy na każdym kroku. Tu potrzebują kowala, a tam o milę kowal nie ma zajęcia; tu oddawna nie mogą znaleźć pszczelarza, a tam w trzeciej wiosce pszczelarz oddawna czeka na służbę — i tak dalej. Co to znaczy? To znaczy, że nasze drogi porozumiewania się między popytem a podażą pracy są jeszcze bardzo pierwotne i nieutorowane, że jej giełdy, rynki — czy jakkolwiek nazwiemy tego rodzaju urządzenia pośredniczące — pozostają w takim stanie, w jakim był ruch osobowo-towarowy przed wynalezieniem kolei żelaznych. W takich warunkach sprzedawca i nabywca pracy mogą sąsiadować o miedzę lub o ścianę i nic o sobie nie wiedzieć. Jeżeliby nowelista napisał humoreskę, której bohaterowie mieszkający w przyległych numerach hotelu równocześnie i bezskutecznie staraliby się — jeden o nauczyciela a drugi o miejsce nauczyciela — byłby to obrazek wiernie zdjęty z życia.

Brak należycie uorganizowanych rynków paraliżuje nietylko pracę, jako ręce, ale także jej wytwory. Pani W. Marrene, ujawniwszy w *Kuryerze warsz.* charakterystyczny fakt szczegółowy, dotknęła nim bardzo ważnej kwestyi ogólnej. Opowiada ona, że w Głogowcu pod Kutnem założono fabrykę kapeluszów słomianych, dla której nauczyciele sprowadzeni z zagranicy ukształcili odpowiednich pracowników z ludności miejscowej. Wyroby były piękne i tanie, ale nie mogły rozchodzić się w większej liczbie z powodu braku ujścia handlowego. Jeżeli zaś znalazły zbyt, to tylko taki, który im zagradzał drogę. „Kapelusze głogowieckie — pisze autorka — znajdowały się już tego lata w kilku magazynach, lecz towar kupowany w fabryce na tuziny, stosownie do wielkości i piękności wyrobu, od 40 do 100 kop. sztuka, sprzedawany był po cenach wysokich, bo dochodzących do 4 rs. za kapelusz wcale nieubrany.“ Nieraz nawet biedne kapelusze głogowieckie musiały zapierać się swego pochodzenia i występować między zagranicznymi. (U nas w takich wypadkach paw, papuga i małpa zawsze pokonają człowieka). Nawet mały Kraków wytworzył sobie doskonały rynek dla kapeluszów słomkowych, wyrabianych przez włościan a sprzedawanych tam po 20 centów, podczas gdy w Warszawie te same kosztują po rublu. Wróćmy wszakże do głogowieckich. Gdyby one miały zbyt szeroki z niewielką opłatą za pośrednictwo handlowe, ludność korzystałaby z zarobku, a ogół z taniego towaru, którego potrzebuje w wielkich masach.

Toż samo powtarza się w każdej dziedzinie przemysłu. Narzekamy na opór ludu w zakładaniu sadów, szturmujemy do niego książeczkami i artykułami, a on stale odpowiada: gdzie sprzedam owoce, jeśli wszystkich moje dzieci nie zjedzą? P. Sempołowicz narzeka w sprawozdaniu swej stacyi, że kraj nasz nie hoduje potrzebnej ilości nasion traw, a rolnicy odpierają: jeśli sami ich nie zużytkujemy, gdzie sprzedamy? W składach, które nam dadzą ceny, jakie im się podoba? I tak bez końca ciągnie się łańcuch błędnych kół i kółek.

Jakież siły pragniemy tym wywodem w ruch wprawić, jakie przedsięwzięcia wywołać? Naturalnie te, które uczestniczą w rozwoju handlowym. Przypuszczam, że czytelnik nie posądza mnie o zamiar opromieniowania idealnem światłem pośredników między wytwórcą a spożywcą. Podzielam najzupełniej zdanie, że między pierwszym a drugim nie powinien stać nikt, drący łyko, chociażby najcieńsze, z obu. Lecz warunki rzeczywiste przyznają wartość tylko radom praktycznym, odkładając marzycielskie do późniejszych, często bardzo odległych czasów. Dziś w większości wypadków producent nie może zawiązać bezpośrednio stosunku z konsumentem i musi stykać się z nim za pośrednictwem handlarza. Rolnik nie przyniesie wam do domu korca zboża, którego potrzebujecie na chleb i bułki, fabrykant kapeluszów nie rozniesie ich po jednej sztuce itd. Niezbędny więc tu jest kupiec, który za swe usługi każe płacić obu stronom. Jeżeli on ich niezbyt obdziera, a w swem pośrednictwie jest obrotny i sumienny, stanowi pożyteczny czynnik handlowo - przemysłowy. Otóż twierdzimy, że czynniki tego rodzaju powstają u nas bardzo powoli, działają niedołężnie, a nadewszystko nie umieją szybko spajać potrzeb ogółu z interesami nowych gałęzi wytworczości miejscowej. W Paryżu dziś narodzi się bzdurna zabawka, a jutro ją rozprzedają wszystkie sklepy; u nas najpiękniejsze wyroby swojskie muszą nieraz przez dziesiątki lat zdobywać sobie drogi odpływu. Jak zające po wydeptanych ścieżkach biegamy chętnie i szybko: dla aksamitu, pomarańcz włoskich, jabłek tyrolskich mamy rynki; ale dla kapeluszów głogowieckich, gruszek i śliwek nadwiślańskich — brak nam targów i pomysłów.

W obecnym ustroju ekonomicznym sprzeczności nie są rzadkie. To też podczas gdy jedni chcą rozszerzyć rynki, drudzy pragnęliby je ścieśnić i opasać obręczami. Czytelnicy znają przyrząd handlowy najnowszego wynalazku, zwany w Europie „trustem,“ „ringiem“ lub „kartelem.“ Jest to zmowa przemysłowców przeciwko spożywcom w celu utrzymania cen sprzedażnych na pewnej wysokości. U nas istnieje taka „konwencya“ między cukrownikami, zobowiązująca każdego z nich do wyrobienia oznaczonej ilości produktu na potrzeby miejscowe i do wywiezienia nadwyżki za granicę. Tym sposobem rynek wewnętrzny nie jest nigdy przeładowany i nie naciska cen ku zniżce. Środek ten okazał się tak skutecznym w najrozmaitszych dziedzinach przemysłu, że musiał znęcić ku sobie i papierników. Według pogłosek dziennikarskich, postanowili oni również zawrzeć konwencyę na wzór cukrowniczej. Na rynku bowiem okazał się nadmiar towaru przy jednoczesnem zmniejszeniu zapotrzebowania. Wytężonemu współzawodnictwu grozi nadto Finlandya, której granica może nagle być otwarta, cło zniesione, a wtedy papier tamtejszy, wyrabiany w przyjaźniejszych warunkach dzięki licznym spadom wodnym, zadałby naszemu cios dotkliwy. Dbali tedy o własną kieszeń, a nieczuli dla naszej, fabrykanci zamierzają „uregulować“ swoją produkcyę i utrzymać ceny na dotychczasowej wyżynie. Rozumie się życzymy im szczerze... niepowodzenia.

I chmielarze zamarzyli o „kartelu,“ mają więc związać się taką samą umową. „Dobry przykład jest zaraźliwy“ — powiada przysłowie. Jak przepowiadaliśmy niedawno, system „pierścieni“ rozszerza się coraz dalej, dopóki nie ogarnie całej przestrzeni życia ekonomicznego. Zaiste dziwna walka toczy się po za zasłoną wzajemnych umizgów. Wytwórca robi najczulsze miny do spożywcy, ten okazuje mu żywą wdzięczność, a po za tym romansem *homo homini lupus est.*

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

W PRZEDEDNIU „KRACHÓW.“

Przejścia finansowe obywateli ziemskich weszły w przysłowie. Zwykle pożycza się pieniądze, póki kredyt pozwala, na różne niby melioracye majątku, chociaż w większości wypadków otrzymane tą drogą fundusze idą na użytek, nie zawsze posiadający coś wspólnego z podawanym celem. Wreszcie po pewnym czasie nastaje przesilenie, kredyt znika, a wierzyciele upominają się o zwrot kapitałów. Otóż coś zgoła podobnego spostrzegamy obecnie w zakresie stosunków międzynarodowych: obciążenie krajów rolniczych długami publicznymi, które zaciągnięto w celach „melioracyjnych“ u rozwiniętych ekonomicznie i przemysłowo sąsiadów, niezaspokajanie zobowiązań, wreszcie wzięcie niewypłacalnego dłużnika pod administracyę — cały ten tak znany proces powtarza się na olbrzymią skalę we wspomnianej dziedzinie. Erę bankructw publicznych rozpoczęła Argentyna jeszcze wiosną roku zeszłego, kiedy jedna z najzamożniejszych jej prowincyj zawiesiła wypłatę kuponów od swoich pożyczek. Świeżo, chociaż częściowo, za tym przykładem poszła Portugalia. Gabinet jej przedstawił tutaj projekt, aby jakimikolwiek sposobami zmniejszono odsetki od pożyczek państwowych, zewnętrznych i wewnętrznych, o 30%. Jest to wprost przyznanie się do cząstkowego bankructwa z pozbawieniem wierzycieli blisko jednej trzeciej majątku. Rozumie się, przykłady odosobnione nie posiadają nigdy większej wagi, a ruina finansowa jakiegoś jednego i drugiego państwa może być świadectwem, że gospodarstwo krajowe złożone w ręce zbyt lekkomyślne. Atoli zdarzenia powyższe bynajmniej nie są zjawiskiem przypadkowem; przeciwnie, mamy tutaj do czynienia raczej z zapowiedzią całego szeregu wstrząśnień finansowych, które już od lat kilku dają znać o sobie, a które najwyższym strachem przejmują świat rentierów z Belgii, Anglii, Francyi. Jeden z najwybitniejszych ekonomistów mieszczańskich chwili obecnej, Leroy-Beaulieu, w następujący a mocno rozpaczliwy sposób kreśli ów niepokój, nurtujący kapitalistów: „Zawód kapitalisty, tak zwalczany dzisiaj i tak zohydzany przez ludzi złej woli, przebywa nader ciężką chwilę. Bynajmniej nie śpią na różach ci nieboracy, którzy podjęli się obowiązku dostarczania światu owej substancyi pożywnej, owego kapitału, który rodzi ruch, pobudza życie, wywołuje postęp. Zwłaszcza lata ostatnie okazały się niezmiernie posępnemi dla mrówek ludzkich, cierpliwie oszczędzających, wciąż poświęcających dzień dzisiejszy dla jutrzejszego,

a nagle spostrzegających teraz, jak nadzieje względem przyszłości rozwiewają się... Niejeden z drobnych kapitalistów zaczyna z żalem wspominać o swej dawnej, ale zaufanej kryjówce w materacach, pończosze lub o schowanku pod ziemią. A może wielu powróci zwolna do tego tak wyśmianego sposobu zbierania majątków!“ Jak widzimy, ekonomista francuski nie szczędzi bynajmniej barw ciemnych. I należy przyznać, że istnieją słuszne ku temu powody. Sytuacya jest tem dotkliwsza dla rentierów, że zachwiało się jedno z urządzeń najpewniejszych i jednocześnie najlepiej charakteryzujących ustrój kapitalistyczny — długi państwowe. Dla posiadaczów pieniędzy dług publiczny rozwiązał szczególnie zawiłe zagadnienie, mianowicie, jakim sposobem, wypożyczywszy kapitał i umieściwszy go w sposób nieryzykowny na procencie, jednocześnie ten sam kapitał mimo to posiadać w każdej chwili pod ręką, módz robić z nim najrozmaitsze operacye i umieszczać go powtórnie, jeżeli nastręczy się sposobność korzystniejsza.

Mniejsza zresztą o znaczenie dla świata kapitalistycznego tej instytucyi. Lepiej przyjrzyjmy się powodom samego strapienia mrówek ludzkich, tem niepodobnych do zwierzęcych, że mają na widoku zawsze cele osobiste, a nie społeczne. Każdy kraj zamożny, tj. rozwinięty pod względem produkcyi przetwórczej, a zatem Francya, Anglia, Belgia, Szwajcarya, posiada dostatek kapitałów, szukających umieszczenia (na którem zbywa) i, co jest naturalnym wynikiem, odznacza się niską stopą procentów. Nadmiar ich wylewa się do krajów mniej zamożnych, to jest mało przemysłowych — w rozmaity sposób, a zatem jako pożyczki prywatne, udziały akcyjne w istniejących tam przedsiębiorstwach, to znowu jako długi municypalne lub państwowe. Trwało to oddawna. Olbrzymie sumy wyszły w ten sposób do państw południowej Ameryki, Francyi, Grecyi, Hiszpanii — wogóle, krajów, odgrywających w tegoczesnym chórze cywilizacyjnym rolę kopciuszków. Zakątki te zapożyczały się, aby za otrzymane środki rozpowszechniać u siebie i wzmagać „cywilizacyę,“ która w tym razie odgrywa dosłownie tę samą rolę, jak dla sumienia ziemiańskiego wymówka, że pieniądze wzięto dla poprawy majątku. Z góry można było przypuścić, że na lekkomyślności nie zbraknie w tym przypadku, pieniądz bowiem, który łatwo wchodzi do rąk, zwykle jeszcze łatwiej z nich wyślizguje się. Nie dość tego. Uwzględniając warunki, w których dłużnicy znajdowali się, zgóry można było przepowiedzieć nieuchronność dzisiejszego kataklizmu. W rzeczy samej zatrzymajmy się nad położeniem krajów-kopciuszków. W okolicach, przodujących ekonomicznie, koleje żelazne, kanały, szosy, linie telegraficzne, poczty itd., wszystko to powstawało krok za krokiem, w miarę jak rozwijające się życie stawiało z jednej strony odpowiednie wymaganie, z drugiej zaś w siłach wytwórczych i przemysłowych kraju stwarzało podstawy bytu. Koleje, które przeprowadzano, opłacały nietylko koszty swego utrzymania i zwracały stopniowo kapitał wyłożony, lecz nadto dawały jeszcze odpowiednie odsetki. Wszystkie te środki przyśpieszenia tętna społecznego były w najzupełniejszej zgodzie ze swojem otoczeniem. Inaczej się dzieje w krajach-kopciuszkach. Kolej i telegraf ukazują się tutaj niekiedy nie jako zadość uczynienie naglącej potrzebie ogólnej, lecz jako obowiązek krzewicnia płodów kultury i środek ułatwienia administracyi kraju. Kolej biegnie nieraz przez pustkowia, po drucie telegraficznym nie idą żadne depesze prócz rozporządzeń administracyjnych. Rozumie się, w takich okolicznościach droga żelazna nie daje najmniejszej rękojmi, że przyniesie procenty od uwięzionego w niej kapitału, który przypłynął tutaj z krajów zamożniejszych, i władze, jeśli chcą widzieć u siebie ten płód cywilizowanej techniki, winny pospieszyć z odpowiednim poręczeniem. Podobnie rzecz się ma z innemi częściami rynsztunku „cywilizacyjnego,“ jak szkoły, instytucye naukowe, armia itd. Niekiedy, jak to właśnie widzimy w Serbii i Bułgaryi, koleje itp. nie tylko nie podnoszą dobrobytu publicznego, lecz nawet „bogactwa narodowego,“ gdyż wprost rzucają kraj w przepaść nędzy i wyjałowienia. Bankierzy, wchodzący w stosunki z władzami takiego kraju, stawiają sami warunek „ucywilizowania“ go. Kolejami wywozić będą oni bogactwo przyrodzone; po kilku dziesiątkach lat zasoby natury ulegną zupełnemu wyczerpaniu pod wpływem takiego rabunkowego gospodarstwa. Z wyniszczeniem sił podatkowych, spadną odpowiednio dochody państwa, a tymczasem wydatki zwiększą się, gdyż i sam rynsztunek „cywilizacyjny“ staje się coraz znaczniejszym. Anglia lub Niemcy pod działaniem życia wprowadzają nowe formy techniki komunikacyjnej, sposoby oświaty, środki zabawy, w samym rozwoju czerpiąc do tego środki. Kraj-kopciuszek, mimo wzrastającego wyjałowienia, wstępuje z „obowiązku“ w ich ślady. Już w tem kryje się możliwość kataklizmu finansowego. Wszędzie też w ustroniach ekonomicznych spostrzegamy stale powtarzający się deficyt roczny, który bywa pokrywany za pomocą zaciągania nowych pożyczek, jakie nietylko nie są dla nich ratunkiem, lecz kopaniem grobu. Hiszpania od wielu lat swój budżet roczny zamyka niedoborem 70 mil. franków, w tym zaś roku prawdopodobnie aż 80—100. W Portugalii deficyt za okres 1884—1890 wyniósł do 300 mil. franków, a dług państwowy w 1889 dosięgnął aż do 3 miliardów, tj. na każdą głowę ludności przypadało 650 fr.; dodamy, że procenty od tej sumy pochłaniają połowę wszystkich dochodów i wpływów państwa, A jednak gospodarstwo finansowe tych krajów jest prowadzone nie najlekkomyślniej! Żeby poznać, do jakiej granicy dochodzi nieopatrzna rozrzutność, trzeba zapytać municypalności włoskie lub rzeczypospolite południowo-amerykańskie. Pożyczki stają się tutaj orężem walki partyjnej. !Każde ze stronnictw walczących usiłuje zwiększyć zastępy swoje przez szafowanie obietnicami najrozmaitszych ulepszeń — miastom przyrzeka wodociągi, targi, przeprowadzenie szosy w pobliżu, lub kolei. Naturalnie, nikt nie ufa samej obietnicy i nie poprzestaje na niej, lecz wymaga się czegoś dotykalniejszego. Atoli jak dotrzymać dane słowo, nie oburzając jednocześnie przeciwko sobie wyborców, że na nich pada ciężar „amelioracyj“? Czekające ulokowania kapitały w rozwiniętych okolicach międzynarodowego obszaru wymiennego zwalniają naszych Hamletów od poszukiwania trudnej odpowiedzi. A zatem wypuszcza się rentę państwową lub miejską, czyni się niektóre z obiecywanych ulepszeń i robót, część pożyczki odkłada się na opłacenie od niej procentów przez lat kilka, ażeby nie podkopywać zaufania, poczem zaciąga się nową pożyczkę. Niektóre prowincye Australii przedstawiają w tej mierze przykład nader pouczający. Partya protekcyonistów (przemysłowców), ażeby zyskać tłumy najemnicze na wyborach wraz z poparciem dla swojej polityki, wprowadziła, prócz innych nader kosztownych reform, prawo do pracy, zasadzające się na tem, że skoro z powodu zastoju wzmoże się znacznie liczba rąk niezajętych, „państwo“ przystępuje do robót publicznych i obowiązkowo daje zatrudnienie każdemu zgłaszającemu się. Kapitaliści angielscy są dojną krową, która dostarcza funduszów, a dla utrzymania ich ufności zorganizowano odpowiednią klakę. Zresztą Australia szybko rozwija się ekonomicznie i różne sztuczki, w ruch puszczane, są natury niewinnej, ponieważ nie prowadzą jeszcze do nadużycia cudzej kieszeni. Natomiast rzeczypospolite południowo-amerykańskie postępują sobie już całkiem według tradycyi staroszlacheckiej. Bank hypoteczny prowincyi Buenos-Ayres od 1887 wypuszczał ceduły (listy zastawne) jedne po drugich, wydając protegowanym pożyczki, kilkakrotnie przewyższające wartość dóbr zastawionych. Sam jeden zarwał on giełdy europejskie blisko na miliard franków! Jest to w południowej Ameryce obraz codzienny, chociaż nie zawsze tak rzucający się w oczy. Przestrzenie te są widownią nieustających przewrotów i walki pomiędzy klikami. Otóż zadaniem każdej takiej kliki i jej celem, który osięgnąć zamierza za pomocą wywołania rewolucyi, jest dostanie się do steru władzy, zaciągnięcie nowej pożyczki „melioracyjnej“ i podział jej pomiędzy swoich spólników. Dzisiejsza Brazylia dostarczyłaby nader jaskrawych szczegółów. Rozumie się, wobec takiego postępowania, „krach“ kiedyś musi nastąpić — wcześniej lub później, stosownie do położenia. Tu i owdzie już jest faktem dokonanym, a wszędzie kapitały wypożyczone oczekują chwili, kiedy przejdą w stan unicestwienia i kiedy „róże“ w pościeli kapitalistów zamienią na kolczaste zielsko. Już dzisiaj wartość rent państwowych, a nawet akcyj, umieszczonych w różnych przedsiębiorstwach krajów-kopciuszków, spadła niepomiernie. Państwo bowiem, prócz pożyczek, posiada jeszcze inny środek zyskania środków finansowych— wypuszczanie papierów. Naturalnie, o należytem pokryciu metalicznem puszczonej w świat „wartości“ nie ma mowy, a więc agio złote jej spada nader nisko, coraz niżej w miarę mnożenia się papierów. A jest to zjawisko ogólne w życiu zakątków ekonomicznych. Tymczasem, dzięki umowie, często w takich właśnie papierach następuje wypłata kuponów państwowych, dywidend i t. d. Skutkiem tego obligacye 5% kolei żelaznych prowincyi Santa-Fe, które jeszcze przed laty 5 stały na wysokości 427 franków, spadły dzisiaj do 118; różne papiery portugalskie uczyniły skok jeszcze gwałtowniejszy, bo z 700 franków na 70. Leroy - Beaulieu ocenia, że tą drogą różni kapitaliści europejscy stracili przeciętnie do $^1/_3$ swego majątku w ostatnich czasach.

„Mrówki“ tedy ludzkie przestały spokojnie patrzeć w przyszłość i zaczynają gorzko opłakiwać, że sprzeniewierzyły się starej pończosze. A są to tymczasem pierwsze odgłosy nadciągającej burzy bez nadziei, że po niej niebo rozwidni się. Naturalnie mówimy tutaj jedynie o drobnych kapitalistach. Wielkie wilki i szakale giełdowi nie tak łatwo pozwolą się obedrzeć, Potęga ich zaiste jest straszną. Dzisiejsze np. bankructwo Portugalii sprowadzili drapieżnicy z giełdy londyńskiej — powodowani zemstą z powodu wygrania przez nią sprawy kolonialnej zaczęli wycofywać swoje kapitały i odmówili dalszych pożyczek. Ktoś ogłosił pracę, dowodząc, że wojny w południowej Ameryce i przewroty są tylko uzupełnieniami różnych kombinacyj i zapasów pomiędzy szakalami giełd europejskich. Otóż niebezpieczeństwo zagraża przedewszystkiem drobiazgowi kapitalistycznemu. Czy nie przedsiębiorą jednak zagrożeni jakichś środków zaradczych? Dawniejszy przykład Turcyi a świeży Argentyny, nad którą ustanowiono wierzycielską kuratelę z Rotschildami na czele, toruje drogę w tym kierunku a państwo bankrutujące, z obawy przed utratą możności przyszłych pożyczek, zgodzić się musi na taką opiekę. Posłuchajmy, co mówi w tej mierze Leroy-Beaulieu: „W każdym wypadku należy działać uczciwie. Portugalia, wzorem rzeczypospolitej argentyńskiej, winna zwołać przedstawicielstwo swoich wierzycieli i z niem sumiennie zbadać stan rzeczy i oznaczyć konieczne do poniesienia ofiary. Jednocześnie winna dać ona odpowiednią rękojmię: bez nadwyrężania swojej samodzielności niech odda pewne źródła docho-

dów na zaspokajanie długów w ręce pełnomocników swoich wierzycieli.“

I oto nastała godzina sądów, a sędziami ludów są kupcy i lichwiarze, miejscem zaś sądu — giełda! Dodajmy, że zarówno Portugalię, jak Argentynę, a w przyszłości Brazylię itd. będą kontrolowały te same osoby — w imieniu drobnych kapitalistów, których w nagrodę za spełniane obowiązki obedrą niemal do skóry. Czy nie czyni to wrażenia, że po nad władzami pojedynczych krajów powstaje jakaś wyższa — zorganizowana władza Złotej Międzynarodówki?

K. R. Ż.

Stowarzyszenie spożywcze. Na odbytem zebraniu uczestników stowarzyszenia spożywczego kolei Nadwiślańskiej (20 b. m.) dotychczasowy prezes, p. Stefan Olszewski, streścił dzieje stowarzyszenia w okresie dziesięcioletnim i wyjaśnił powody zmniejszania się dochodów w ostatnim roku. Podobno pierwszą przyczyną niepowodzenia było przeniesienie sklepu z Chmielnej (gdzie od lat kilku wyrobiona już była klientela) na Nowy Świat. Targ jednak szedł coraz gorzej, musiano więc znowu się przenieść na Nowogrodzką, tj. do dzielnicy najbardziej zamieszkałej przez urzędników kolejowych. Powiększyło to koszt i wpłynęło na zastój handlu. Wycofano następnie marki rabatowe z obiegu, chociaż dochód z tego źródła dodatnio wpływał na skalę dywidendy. Pomimo fatalnych interesów, są wskazówki, z których sądzić można, iż r. b. lepsze wyda rezultaty. Trzymając się przysłowiowej mądrości po szkodzie, zarząd zwrócił uwagę, iż należy wyszukać zarządzającego sklepem, któryby energicznie i ze znajomością rzeczy zajął się częścią handlową. Wyszła więc na jaw pięta Achillesowa! „Doświadczenie lat ostatnich nauczyło, iż przy coraz cięższych warunkach biurowych, w jakich urzędnicy pozostają (słowa prezesa w sprawozdaniu *Kur. warsz.*), trudno wymagać, aby członkowie zarządu poświęcali biuro i obowiązki rodzinne i łożyli tyle pracy bezinteresownie na rzecz sklepu; dlatego zarząd występuje z wnioskiem, aby powołać jednego z członków stowarzyszenia w charakterze płatnego agenta handlowego, który jako zainteresowany, więcej pracy będzie mógł poświęcać sklepowi i tym sposobem wpłynąć na rozwój handlu.“ Prezes wyjaśnił, iż sprzedaży rabatowej po skasowaniu marek nie można było urządzić, „a to dlatego, że kupcy są zdania, iż nie krępując się żadnemi deklaracyami, zawsze chętnie odstępują pewien rabat kupującym towar za gotówkę.“

Projekt wyznaczenia płatnego agenta handlowego wywołał niezadowolenie kilku obecnych na zebraniu, którzy nie zgadzali się, aby agentem był stowarzyszony, gdyż taki, jako urzędnik, nie będzie miał dość czasu do spełniania powierzonych mu obowiązków. Ostatecznie po głosowaniu stanęło na tem, iż „nowy zarząd będzie mógł wyznaczyć lub nie — agenta handlowego. Rezultat wyborów jest następujący: do zarządu powołani zostali pp.: Stanisław Jagodziński, Bolesław Pajewski, Edward Wyczałkowski i na zastępców: Smoliński, Matuszewski i Filip Wołowski; do komisyi rewizyjnej: Stefan Olszewski, Józef Żelisławski, Stanisław Morozowicz i na zastępców: Vorbrodt, Grajewski i Wiewiórski.

Kasa Towarzystwa kred. ziemskiego. Dn. 18 b. m. odbyło się zebranie uczestników kasy pomocy i przezorności Towarzystwa kredytowego ziemskiego, zwołane dla rozpatrzenia kilku wniosków. Rada gospodarcza oddała zarządowi kasy wszystkie fundusze do niej, wreszcie wszelkie długi i zobowiązania przez radę gospodarczą przekazane. Zarząd kasy ułożył szczegółowy projekt likwidacyi rachunków b. rady gospodarczej z wykazaniem sposobu odzyskania zaległości i przedstawił projekt ten do zatwierdzenia dyrekcyi głównej. Dług b. rady zarząd zaproponował do spłaty w ciągu lat trzech, jeżeliby uczestnicy kasy uznali tego potrzebę. Zatwierdzono jednak do uiszczenia się z długu termin 10-letni, dzięki czemu spłata nie będzie uciążliwą dla uczestników. Zarząd, w celu przyjścia z pomocą uczestnikom, podał wniosek, iżby zgromadzenie upoważniło go do starania się o pozwolenie (za pośrednictwem komitetu) korzystania z pożyczek według własnego uznania wszystkim bez wyjątku uczestnikom kasy, nawet i tym, którzy mają areszty na pensyach. Wniosek ten ogólne zebranie przyjęło i odpowiedni mandat udzieliło zarządowi. Przyjęto również przychylnie bardzo ważny wniosek (15-tu uczestników) dotyczący cofnięcia ostatniego rozporządzenia komitetu Towarzystwa, na mocy którego nie wolno zaciągać pożyczek w kasie uczestnikowi, jeżeli nie spłacił w zupełności „rady gospodarczej.“ Mogą one być udzielane do wysokości własnego wkładu uczestnika bez poręczenia; w przeciwnym razie powinien przedstawić takiego z pomiędzy uczestników poręczyciela, którego *conto* na to pozwala. Wysokość pożyczki nie może przenosić 4-miesięcznej pensyi.

PRZEMYSŁ I HANDEL.

Przemysł rzemieślniczy. Według obliczenia sekcyi statystycznej magistratu, w r. z. było majstrów w Warszawie 7,212 (w r. 1890—8,959), czeladzi w r. z. 16,634 (w r. 1890 — 22,022) terminatorów 23,744 (w r. poprzednim 17,739); razem pracujących w r. z. było 47,590 (w r. 1890—47,720). Wartość produkcyi wynosi: w r. 1890 rs. 42,057,250, w r. 1891 44,773,500, czyli w r. z. produkcya wyniosła więcej niż w poprzednim o 2,716,250 rs. Na kupno materyałów surowych wydano ogółem w r, 1891-ym 26,030,690 rs., w porównaniu z rokiem poprzednim o 1,111,951 rs. więcej. Wartość warsztatów i narzędzi w r. 1891 obliczono na sumę 2,773,872 to jest mniej niż w roku poprzednim o 106,368 rs.

Z rynku.

Kartel chmielarski. Już dawniej, kiedy chmielarstwo, ta najmłodsza gałązka produkcyi krajowej, zaledwie wystrzeliła z pnia rolnictwa, rozległy się ostrzegawcze głosy Kasandry ze strony publicystów. Chmielarze nasi wysłuchiwać musieli wówczas gorzkich uwag, że, podnieceni popytem piwowarów, w wyścigu wzajemnym rychło mogą przeciągnąć strunę istotnej potrzeby i sprowadzić na siebie wszystkie następstwa nadprodukcyi. Proroctwo nie było fałszywe — spadek cen chmielu krajowego, trapiący obecnie kapitały przedsiębiorców, jest właśnie urągliwym śmiechem nad nimi i służy za wskaźnik smutnego stanu rzeczy. Żeby sytuacyę naprawić, chmielarze zwrócili się do opieki ceł na towar zagraniczny, ale dzięki szczególnej troskliwości, mniej biorącej w obronę spożywców, niż wytwórców piwa, którzy okazali się tym razem bardziej godnymi względów protekcyonizmu — prośba ta jednak została bez skutku. W chaosie wszakże rynku dzisiejszego i produkcyi współczesnej tkwią zdolności samoleczniczo, ujawniające się, jak wiadomo, w *kartelizacyi*. Do tego właśnie środka, według doniesienia *Gaz. lub.*, zamierzyli teraz uciec się chmielarze w Lubelskiem. Postanowili zawiązać syndykat, któryby nadmiar chmielu wywoził za granicę, ceny zaś wytworu spożywanego w produkcyi miejscowej regulował do pewnej wysokości. Jeżeli ta zgoda dojdzie do skutku, kartel cukrowniczy znajdzie towarzysza, a spożywcy i wytwórcy piwa następstwa jego bytu poczują na dobro niebawem. Pierwszym radzilibyśmy odbić możliwe straty na karkach kupców drobnych i szynkarzy, a to za pośrednictwem pomnożonych stowarzyszeń spożywczo - współdzielczych; drugim zalecamy pójść w ślady chmielarzy lubelskich, których, po udatnej próbie, zechcą naśladować inni ich koledzy. Syndykat piwowarski byłby bardzo naturalnem dopełnieniem chmielarskiego, a zapewniłby swoim uczestnikom tę korzyść, której oni napróżno dziś szukają w wolnem, słodko-harmonijnem ścieraniu się interesów pojedynczych, a uprawiając wytrwale ten system, zasłaniają się skwapliwie jego skutkami, ilekroć im wypadnie oko w oko stanąć wobec żądań wyższej stopy zarobkowej swoich „pracobiorców.“ Możeby wówczas, silni zespoleniem i popierani premiami wywozowemi, utracili pieluszki ceł, a dbając więcej o równość szans współzawodnictwa na rynkach zewnętrznych, zapewnioną przez jakość towaru i budzeni z drzemki swobodnym dowozem zagranicznych „trustowców,“ wykazaliby też większą troskliwość o dobro spożywców i nie narzekali na konkurencyę piw monachijskich. Możeby wówczas zapomnieli, jak się robi „lurę,“ a nauczyli, jak się wytwarza dobre, zdrowe i posilne piwo, którego próbki widuje naiwny spożywca czasem, efemerycznie, tylko na wystawach hygienicznych...

Zamach na żołądki. „Pewne grono“ restauratorów warszawskich zaniosło prośbę do władzy o „uregulowanie“ (grzeczny wyraz *Kur. warsz.*) sprawy „pokątnych“ jadłodajni. Zarzut „pokątności“ jest ciężki i drogą sympatyi łatwo zbudzić może u publiczności — wstręt, tembardziej, że nie brak jej przyjaznych skojarzeń w smutnem doświadczeniu, np. w „pokątnem doradztwie,“ którego ofiarą padają nietylko patentowani adwokaci, ale, co gorsza, ciemny i niemrawy chłop, w „pokątnem karmicielstwie,“ dybiącem na życie dzieci ludu. Takie fakty bezwarunkowo wymagają zwalczania. Ale nie wszystko, co jest „pokątnem,“ stanowi zło i, jako takie, zasługuje na wytępienie. W „pokątnych jadłodajniach“ pp. restauratorzy mają szczególnego rodzaju współzawodnictwo, bo „jadłodawstwo,“ które, nie psując żołądka spożywcy fryturą i innem paskudztwem, ofiarowuje mu pokarm za tę samą cenę, a często nawet za nieco wyższą. I takiego to właśnie wroga swego, lecz dobrodzieja dla innych, chcieliby nasi oficyalni jadłodawcy „uregulować!“ Mówiąc bez obłudy — pragnęliby oni go całkiem z pola usunąć, a publiczność zawisłą od nich jeszcze bardziej uzależnić. Jest nadzieja, że ten bezczelny zamach na żołądki nie znajdzie spodziewanego poparcia. Ale, gdyby jakim szczęśliwym dla siebie trafem, tym spiskowcom udało się sklecić swój syndykat, który, w odróżnieniu od wielu podobnych, z istoty rzeczy, byłby zorganizowanem trucicielstwem, innej rady nie pozostawałoby dla spożywców, jak stać się kamieniem, na który trafia kosa, tj., stworzyć sobie własne, na kooperacyi oparte, restauracye. Sądzimy, że już dziś, zawczasu, przynajmniej ci z nich, którzy, jak np. subjekci handlowi, wioślarze, cykliści, kolejowcy, mający swoje spójnie fachowe, czy sportowe, o ile nie posiadają ognisk domowych, mogliby tę radę urzeczywistnić.

Zebranie uczestników giełdy. Ze sprawozdania komitetu giełdowego, które odczytał jego prezes, p. M. Epstein, na zebraniu dorocznem w d. 22 lutego, odsłania się następujący stan majątkowy tej instytucyi. Za komorne od warsz. Towarzystwa wzajemnego kredytu i urzędu starszych zgromadzenia kupców pobrano 3,600 rs., za wejścia jednorazowe na giełdę pieniężną — 2,984 rs. 50 k., doroczne dochody uczyniły 4,000 rs., a nadzwyczajne 360. Ogółem wpłynęło rs. 11,007 k. 9. Główne wydatki giełdy były następujące: płace służby biurowej rs. 2,039 k. 50, wydatki nadzwyczajne rs. 701 kop. 41, rachunek procentów rs. 2,455 k. 88, utrzymanie gmachu, podatki itd. rs. 1,451 k. 73. Przyrost majątku giełdy wynosił rs. 3,807 k. 46. Wogóle majątek giełdy w d. 13 stycznia r. b. wynosił 54,819 rs. 77 kop.

Ceny bieżące. Lublin, 17 lutego. W cenach na zboże zmiany znaczniejsze nie zaszły. Ruch zbożowy jest bardzo słaby i gdyby nie popyt młynarzy miejscowych, pszenicę trudno byłoby sprzedać. Godniejsze uwagi za to są zmiany w cenach na produkty spożywcze, które wciąż idą w górę. Garniec kartofli płacony jest 10—12 kop., na ćwierci są nieco tańsze — 70—75, ale też z domieszką „gniłek,“ jako premium dla spożywcy. Funt masła solonego kop. 30, świeżego 35—30, mięsa wołowego 10, cielęcego 7 do 8, wieprzowego 12; słonina zdrożała o 2 kop. na funcie i płacona jest teraz 20 kop. Kwarta mleka 5 do 6 kop., śmietany 20, kopa jaj rs. 1,20, na sztuki — po $2\frac{1}{2}$ k. Funt chleba razowego (czarnego) 3 k., podsitkowego $4\frac{1}{4}$, pytlowego $4\frac{3}{4}$, kaszy gryczanej pośledniej kwarta 9 k., jaglanej 10, jęczmiennej pospolitej — 7.

— Łódź, 6 lutego. Przy słabym dowozie płacono: za korzec pszenicy rs. 8,50, żyta 7,80, jęczmienia 6, owsa 3,10, grochu 10 i kartofli 3,84. W cenie żyta była więc zniżka o 20 k., pszenicy o 10 i owsa o 5, za to jęczmień zdrożał o 15 k. Pud mąki pszennej najlepszej płacono rs. 2,60, zwyczajnej 2,10, żytniej najlepszej 2,20, zwyczajnej 1,55; funt chleba pytlowego kop. 4½, razowego 3, mięsa wołowego 12, cielęcego 11, wieprzowego 15, sążeń drzewa sosnowego rs. 16, brzozowego 17, korzec węgla kop. 88, pud soli 50.

— Będzin, 10 lutego. Korzec średniej rs. 8, wyborowej 8,50, żyta 7,20—7,50, jęczmienia 5,20—5,60, owsa 3,30—3,75, kartofli 3,45—3,60, grochu polnego 8—8,50. Korzec kaszy tatarczanej drobnej rs. 15, średniej 13,50.

— Warszawa, 23 lutego. Na placu Witkowskiego pszenicy wystawiono na sprzedaż około 700 korców: wyborowa sprzedawano po 8,15, 8,70 do 8,75, białą po 8,40—8,50, pstrą po 8 do 8,25. Dostawy żyta mikroskopijne, towar z próbek ofiarowywanych nie miał nabywców. Owsa dowieziono 150 korcy i sprzedawano stosownie do gatunku po 2,90 do 3,30. Na targu praskim dowóz wynosił ogółem 23 wagony, z których 9 było żyta, 9 owsa, 4 jęczmienia i 1 kaszy jaglanej. Żyto stało „słabo“ — za wybarowe płacono 1,27 do 1,29, za średnie 129—126 k. za pospolite 118—122. Owies — „słabiej“: ceny o 2 k. niższe; wyborowy kop. 88—94, średni 80—83, pospolity 75—78. Dowóz do składów tranzytowych (stac. Praga, kol. teresp.) wynosił 731 wagonów (zapasu) wytworów roślinnych. Ceny były: pud żyta 125—130 k., pszenicy 123—132, jęczmienia 80—100 k., owsa 80—97, prosa 135—150, kaszy gryczanej 165—175, grochu 120—130, kukurydzy 80—83.

— Rynek wódczany cechował się w zeszłym tygodniu tem, że dowożono nań tylko przewyżkę okowity, której gorzelnie z braku odpowiednich zbiorników nie mogły marynować, oczekując „lepszych czasów.“ Warszawskie Tow. rektyfikacyi chociaż zniżyło cenę tego produktu, ale tylko do poziomu panującego w ubiegłym tygodniu, tj. do rs. 10,93 za wiadro 100% *netto*.

Rynek pieniężny. Berlin, 23 lutego. Ruble i wartości ruskie były w zaniedbaniu i ulegały zniżkom. Za to wartości spekulacyjne trzymały się mocno.

— Ruble w umowach końcomiesięcznych ceniono z początku 201,50, w chwili zaś urzędowego zamknięcia obrad giełdowych 201 — potem zyskały 15 fenigów.

— Banknoty ruskie w obrotach natychmiastowych zniżyły się o 10, a w dostawowych — o 25 fen.

— Listy zastawne ziemskie spadły o 10, a likwidacyjne o 20 kop. Na pożyczki wschodnie zżymano ramionami.

— Ruble w gotówce 201,50, na dostawę 201,25 za 100.

O PRAWDĘ.

I.

Sprostowanie.

W ostatnim numerze *Prawdy* p. Wł. A. K. zwierza się czytelnikom z kilku domysłów o moich upodobaniach i poglądach filozoficznych. Ponieważ będąc z nim w stosunku zaledwie przygodnej znajomości, nie miałem nigdy ani chęci, ani okazyi wtajemniczania go w to, co myślę i co lubię, przeto muszę niniejszem, rad nie rad, oświadczyć, iż domysły owe i domniemania są całkiem dowolne i co ważniejsza chybione. Głównie jednak zaprzeczyć muszę następującym z nich:

1. P. K., wnikając już teraz w zakulisowe sprawy mojego autorstwa, wziął mię snadź za nieboszczyka. Winienem tedy dla uniknienia mogących stąd wypłynąć dalszych nieporozumień obwieścić, że nie umarłem i przeto nie czas jeszcze zgadywać na własne ryzyko, jakie były dawniej moje *prywatne*, nieogłoszone drukiem poglądy etyczne oraz ich koleje — skoro w szkicu p. t. „Zarys syntezy,“ a także poprzedzających go, wypowiedziałem się *jawnie* i *publicznie*. Tymczasem p. K. domyśla się, że od czasu napisania studyum o Wundcie „zmieniły się zasadniczo poglądy autora,“ że gdy teraz głoszę kult woli, przedtem byłem zdecydowanym utylitarystą i na dowód tej zmiany cytuje moje słowa dawniejsze, niż „Zarys syntezy,“ a w których nazwałem szczęśliwość „koniecznym gruntem przepisów moralno-społecznych.“ Owóż, jakkolwiek taka ewolucya żadnej by mi ujmy nie czyniła a w oczach idealistów podniosłoby mię nawet, jednak wyrazić muszę żal, że domyślność szan. sprawozdawcy zawiodła go — albowiem i dziś w „Zarysie“ wyznaję utylitaryzm, jako postulat życia gromadnego i działalności zewnętrznej człowieka, kult zaś woli uważam za nakaz wprawdzie wyższy i pierwotniejszy, ale mało skuteczny. Żywioł utylitarny tego poglądu dualistycznego formułuję tam nawet energiczniej:

„Nawet wtedy musielibyśmy zgodzić się na *hedonizm społeczny*, gdyby w nim miejsca nie było dla poświęcenia i bohaterstwa, albowiem żadna moc społeczną do bohaterstwa skłonić nie może“ (str. 282).

„Etyka społeczna może być tylko taka, jak ją wykłada Spencer, ona może się jedynie zajmować *postępkami* ludzi, być regulatorem ich stosunków, a te czyny powinny i muszą być sądzone ze stanowiska celu zbiorowego pożycia, *tym zaś celem może być tylko szczęśliwość powszechna.*“

Jeśli więc teraz ja postawię domysł, że p. K. zarysu syntezy nie czytał, to chyba nie spudłuję. Godne są również uwagi rezultaty owej fantastycznej auskultacyi p. K., a mianowicie wniosek, że moja książka jako zbiór artykułów powinna mieć przynajmniej cechę jednolitości i wyrazistości. Ponieważ jednak jest to już twierdzenie kategoryczne a nie domysł, więc nie mam prawa prostować go. Nie mam też i *potrzeby* czynić tego. Albowiem ogół dotychczasowych recenzentów mojej książki zrozumiał ją, etyczne zapatrywania moje szerszym kołem wyłuszczył, przyczem dr. Piotr Chmielowski podkreślił nawet — jakby dla ironii — jasność rozumowania, niektóre zaś tygodniki, jak *Głos* (którego chyba nikt o życzliwość dla mnie nie posądzi), powitały „Zarys syntezy“ z przerastającem może jego wartość uznaniem.

2) Panu K. „zdaje się,“ że znam bliżej tylko doktrynę utylitaryzmu. Ten znów domysł polega na mniemaniu, że utylitarystami prócz anglików są także Wundt, Kant, Rolph, Guyau, Fouillé i im pokrewni. Uważam sobie tedy za obowiązek, dosyć elementarny, objaśnić nieświadomych rzeczy, że Wundt jest idealistą-empirykiem, Kant idealistą intuicyjnym. (Imperatyw kategoryczny, czyli wewnętrzny nakaz moralny uważa za fakt czystego praktycznego rozumu i autonomii woli), Fouillé i Guyau przyjmują dynamizm idej jako motorów kategorycznych, Rolph — perfekcyonizm idealny z racyi organicznej dążności do samolubstwa itd. P. K. wziąwszy ich wszystkich, a prawdopodobnie też i Schopenhauera i Hartmana za utylitarystów, doznał bardzo naturalnie złudzenia, że ja o samych tylko utylitarystach piszę, *ergo* tylko utylitaryzm znam bliżej. Pomyłka tem dziwniejsza, że samemu Wundtowi poświęciłem z górą 60 stronic...

3) Panu K. „zdaje się“ wreszcie, że ja najwięcej przywiązuję wagi do artykułów treści etycznej. Znowuż więc, *volens nolens*, muszę się czytelnikom zaprezentować osobiście i oświadczyć, że najmniej wagi przywiązuję właśnie... do „sekty estetycznej“ (która już trzy lata temu zwróciła uwagę pp. Gomulickiego i Kotarbińskiego (*Kłosy*), a pierwszy z nich zamierzał nawet zaznajomić z nią przy pomocy jednego z dzienników szerszy ogół). Że wskutek takiego domysłu p. K. nie podał nawet wzmianki o mojej teoryi estetycznej, za to urazy najmniejszej mieć do niego nie mogę, trudno bowiem, ażeby chemika, czy też biologa zaciekawić mogły sprawy piękna i sztuki, jak trudno żądać, ażeby go szczególnie pociągały lub mu osobliwie znanemi były sprawy etyki i wszelkiej wogóle filozofii oderwanej. Książka moja musi więc być dla p. K. i bardzo nudną, niepopętną i nie zupełnie może zrozumiałą. Usprawiedliwiam więc to, że zamiast podać do wiadomości, czem książka jest i co zawiera, napisał, czem ona nie jest i czego nie zawiera, dla czego z treścią jej nikogo nie zaznajomił (w 200 wierszowym artykule), a natomiast zajął się krytyką tytułów pojedynczych części, jak *przeszłością* (!) i takiemi sprawami księgarsko-introligatorskiej natury, jak pytanie, czy należało artykuły łączyć pod jedną okładką.

Zastrzegłszy się w ten sposób przeciw odpowiedzialności za obligi opatrzone cudzym podpisem, sprostuję jeszcze tylko, dla dobra nieświadomych rzeczy, odnośne punkty faktyczne, a mnie bezpośrednio nie obchodzące.

a) nasza filozofia ma bardzo mało wspólnego z pozytywizmem, który nie liczy w niej *ani jednego* prawdziwego wyznawcy.

b) intuicyoniści etyczni nie byli i nie są indywidualistami. Dla nich wewnętrzny nakaz moralny jest faktem *bezwzględnym*, we wszystkich przypuszczalnie jednakowym, endemonizm zaś równa się samowoli (u Kanta: *Heteronomie der Willkür*), gdy dla mnie *wręcz naodwrót* — endemonizm obowiązuje wszystkich, a poszept wewnętrzny może być samodzielnym. P. K. naraża się na zarzut tumanienia ludzi, gdy twierdzi, że i po filozofii greckiej indywidualizm taki bywał głoszony.

c) Żądanie skonfiskowania „Szkiców filozoficznych“ z tego powodu, że wyszły one już kiedyś w *Ateneum*, a zatem „nie stanowią książki,“ pociągnęłoby za sobą takiż wyrok dla wielu ostatniej doby dzieł: Chmielowskiego, Smoleńskiego, Smolikowskiego, Dawida, Witkiewicza, Struvego itp. Radykalizm zatem p. K. jest trochę zanadto — utopijny.

Na zakończenie wyznaję, iż wina potrzeby tych sprostowań obciąża głównie mnie samego. Prosząc czcigodnego Redaktora *Prawdy* o uwzględnienie na jej szpaltach mojej książki, dałem poznać, że pragnąłbym być ocenionym przez p. Władysława Kozłowskiego. Niestety jednak, przychylając się do mojej prośby, szan. kierownik pisma nie mógł wobec niejasności mojej przymówki odgadnąć, że miałem na myśli p. Wł. Kozłowskiego z Galicyi, który filozofię uprawia wielostronnie i kompetentnie.

Cezary Jelenta.

II.

Sprostowanie sprostowania.

Nie mam nic ani dodać, ani ująć z tego, co napisałem o *Szkicach filozoficznych* p. Jellenty. Chcę tylko zrobić parę uwag z powodu impertynencyj, któremi mnie osypuje za moje bardzo a może nazbyt względne uwagi krytyczne.

Gdyby p. Jellenta ograniczył się był na wygłaszaniu tego, co nazywa swojemi upodobaniami i poglądami filozoficznemi, w ciasnem kółku osób, które zaszczyca swojem zaufaniem (co może byłoby najwłaściwszem ich zastosowaniem), nie byłby się naraził na ocenę publiczną, ale skoro nietylko raz je zamieścił w czasopismach, ale powtórnie przedrukował w osobnym zbiorku, pragnął widocznie tej oceny, którą niechętnie i tylko na wyraźne żądanie autora podałem. Spotkawszy zamiast spodziewanych zachwytów w prasie tylko pobieżne wzmianki lub krytyczne sądy, p. J. wynagradza siebie zbierając razem wszelkie ślady, a nawet zamiary przychylnych o nim sądów, wylewając obok tego na mnie całą żółć swego zawodu. Zupełnie dla mnie niezrozumiałem jest znaczenie podkreślonych wyrazów o prywatnie wygłaszanych przez autora sądach. Znając go prawie tylko z widzenia (jak to sam przyznaje), nic oczywiście o tych jego sądach wiedzieć nie mogę. Warszawa nie Ateny, a p. Jellenta... nie Sokrates. Sądziłem więc tylko według tego, co wydrukował. Natomiast p. J. stara się przeniknąć w głąb tego, co umiem, zawiadamiając publiczność (do czego nie dałem żadnego powodu w swoim artykule), że posiadam wiadomości z chemii i biologii, przyczem dodaje, że dla posiadających takie wiadomości książka jego jest nudną i niepopętną. Czy chce przez to powiedzieć, że jest zajmująca tylko dla nieuków? Nie potrzebuję odpierać insynuacyi, jakoby nie umiem rozróżnić szkół etycznych. Każdemu, kto zechce zestawić mój artykuł z odpowiedzią p. J. (gdyby ktoś się podjął tak niewdzięcznej pracy) jasnem będzie, ile w tem prawdy. Zaznaczę tylko, że cytowanie autora, a nawet znajomość z książką nie stanowi jeszcze o znajomości doktryny. Również może ocenić czytelnik, czy pragnąłem „skonfiskowania książki.“ Sądzę, że spotka ją los, który spotyka u nas często dzieła nierównie większej wartości, tj. zbutwienie na półkach księgarskich; pragnąłbym jednak, aby ta przepowiednia mylną była, pomi-

mo bowiem swych wad i niedokładności nie jest ona bezwarunkowo nieużyteczną, o tyle przynajmniej, o ile streszcza nieprzetłomaczone na język polski książki.

Wł. M. K. *)

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Kasa oszczędności istniejąca przy miejskiej w Lublinie, liczyła w r. z. 597 uczestników, posiadających kapitał w sumie 17,388 r. W r. z. wzniesiono do kasy tylko 6,016 rs., wycofano 6,148.

— *Gaz. lubelska* donosi, iż naczelnik powiatu konstantynowskiego zarządził wysiedlenie żydów ze wsi: Cieleśnicy, Klonowicy i Błonia, na mocy prawa, zabraniającego starozakonnym mieszkać po wsiach i zajmować się wyszynkiem trunków.

— Jeden z właścicieli placów w pobliżu rogatki wolskiej przystąpi na wiosnę do budowy „domu z motorem parowym i transmisyą, przeprowadzoną do mieszkań." Pomieści on około 30 lokalów, wyłącznie przeznaczonych dla rzemieślników. (*Kur. warsz.*).

— Z początkowania komisyi stałej do spraw wykształcenia fachowego, poruszono sprawę utworzenia kas emerytalnych dla nauczycielek szkół fachowych żeńskich.

— W Warszawie dano koncert i widowisko w sali ratuszowej na korzyść Towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami i ich dziećmi.

— Najwyżej rozkazano przedłużyć termin bezpłatnego wydawania leżaniny leśnej włościanom w guberniach, dotkniętych nieurodzajem, do 1 czerwca.

Wyroki sądowe. W Gnieznie skazanego na śmierć w r. z. gospodarza, b. sołtysa Przybylskiego z Zieleńca pod Wrześnią (za uduszenie własnej żony), cesarz ułaskawił na dożywotnie więzienie w domu karnym.

— W Kazaniu w sądzie wojennym okręgowym przy drzwiach zamkniętych rozstrzygnięto sprawę o zamach zabójczy na gubernatora. Oskarżony był mieszczanin Mikołaj Koczurychin, tudzież obywatel Aleksander Archangielskij (ostatni za niedoniesienie władzy o zamiarach zbodniczych pierwszego). Obu uznano za winnych i według praw stanu wojennego skazano: Koczurichina na karę śmierci przez powieszenie, Archangielskiego na lat 15 ciężkich robót, z pozbawieniem wszelkich praw stanu. Jednocześnie sąd postanowił wystąpić do dowodzącego wojskami z przedstawieniem o złagodzenie kary obu skazańcom.

*) Przez omyłkę drukarską w podpisie na sprawozdaniu zamiast litery M. pomieszczono A.

Bank włościański. Rozkaz Najwyższy do ministra finansów zaleca: udzielić radzie Banku włościańskiego prawo (wskutek podań dłużników) prolongowania zaległości, których termin upłynął 13 stycznia r. 1892, a w guberniach dotkniętych nieurodzajem, z doliczeniem rat wiosennych, według uznania Banku, lecz nie na dłużej, jak do ostatecznej amortyzacyi pierwotnego długu ze spłatą przedłużonej sumy w różnych ratach półrocznych. Przedłużenie powinno być zastosowane i do tych rat, które były prolongowane lub rozłożone na raty przed 13 stycznia r. b. Od przedłużonych zaległości pobierać należy 3% co pół roku zamiast kary. Termin składania podań o przedłużenie wyznaczony jest do 13 maja r. b. Ostateczny termin wysyłania zawiadomień do dłużników o postanowieniu Banku — do 13 sierpnia. Licytacya majątków za zaległości w pierszem półroczu r. b. stosowane nie będą i powinny być przeniesione na drugie półrocze.

— Komisya specyalna, opracowująca reformę Banku włościańskiego, oświadczyła się za projektem zmniejszenia procentów i rozmiarów umorzenia od pożyczek bankowych (*Now. Wrem.*).

Szkoły. Z początkowania departamentu gospodarstwa wiejskiego opracowano przepisy, mające na celu pobudzenie włościan do zakładania ogrodów owocowych. Ponieważ najskuteczniej mogą w tym względzie działać nauczyciele szkół elementarnych, przeto ministeryum dóbr państwa zwróciło się już do ministeryum oświaty z projektem obowiązkowego wprowadzenia do szkół nauczycielskich, czyli t. zw. seminaryów, nauki owocarstwa, polegającej na obznajomieniu praktycznem i teoretycznem z uprawą drzew owocowych. Obowiązujący przedmiot, owocarstwo, będzie już z początkiem przyszłego roku szkolnego w seminaryach wprowadzony, a jednocześnie podniesiono projekt zwołania w ciągu wakacyi grup nauczycielskich do miast, gdzie są fachowi ogrodnicy, dla obznajmienia ich z zasadami hodowli owoców. Tym sposobem można będzie w przeciągu kilku lat do szkółek wiejskich wprowadzić wykład podstawowych wiadomości pomologii, a przy każdym budynku, w którym się mieści szkoła elementarna, zostaną założone wzorowe ogródki owocowe dla praktycznych zajęć uczniów.

Bibliografia, Ksawery Aleksota, *Moje konkury*, powieść, str. 147, Warszawa.

— Ks. Z. Chełmicki, *W Brazylii*, notatki z podróży, z ilustracyami, dwa tomy, skład w Administracyi „Słowa."

— Dr. E. Bandrowski, *Wykład chemii ogólnej*, str. 242, Kraków.

— I. W. Dawid, *Nauka o rzeczach*, str. 691, Warszawa. Gebethner i Wolff.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. M. D. w Szawlach. „Rozwój moralności" wkrótce wyjdzie jako osobna książka; zeszyt pojedynczy kosztuje kop. 50.

P. S. B. w Katerinówce. Książki wysłane, ale *O powst. pr. mor.* wyczerpane. Rs. 1 k. 73 pozostaje do Pańskiego rozporządzenia.

P. Chom. w Nikołajewie. Co najwyżej ustąpić możemy 25%.

Stałej prenumeratorce. 1) Lwowianin, 2) 1884 osobno, przedtem w *Słowie*; 3) już pomieściliśmy ocenę.

P. Józefowi W. w Włocławku. Gramatyka Bema („Jak mówić po polsku").

I. M. Z. W odpowiedzi na pierwsze pytanie musielibyśmy napisać rozprawkę historyczną. Co do Izby wyższej — składa się ona z trojakiego rodzaju lordów na mocy konstytucyi. Członkiem Izby niższej może zostać każdy, niepodpadający pod kilkanaście ograniczeń, które znajdzie Pan wymienione i cały ten przedmiot szczegółowo przedstawiony w dziele Okolskiego *Ustrój politycz. państw europ.* Książka Desbeaux jest zwyczajną popularyzacyą wiedzy.

I. K. z Kielc. Względnie najlepsza Bobrzyńskiego. Lepsze jednak są monografie umiejętnie dobrane.

Pani A. Kłop. w Trosciańcu. 1) Dajemy tylko te książki, które wychodzą w dodatkach kwartalnych. 2) Już zdrów. 3) Prenumerata kwartalna z przesyłką pocztową kosztuje nie 2 rs. lecz rs. 2 k. 50.

Stałemu prenumeratorowi. Obie formy dobre, gdyż zależą od tego, czy nazwę tę bierzemy w liczbie pojedynczej, czy mnogiej.

C. P. L. Z tych dwu próbek, chociaż prozaiczna błyszczy iskierkami talentu, wróżyć nie możemy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 14 Февраля 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.